

Teresa Lipowska, serialowa Barbara Mostowiak, obchodzi 89. urodziny. Jako dziecko pierwsze sceniczne kroki stawiała w Łodzi. **Str. 13**



EXPRESS

ilustrowany

SZPITAL WYJAŚNIA SPRAWĘ

„Wyśmiali mnie na izbie przyjęć”

Łodzianka poparzona wrzątkiem pojechała na izbę przyjęć do szpitala przy ul. Północnej, a tam - jak twierdzi - medycy nawet nie obejrzelili obrażeń. **Str. 3**



Przez lata był symbolem studenckiego życia na Lumumbowie, miejscem koncertów, imprez i pierwszych studenckich miłości. Teraz legendarny klub znika z osiedla akademickiego.

Str. 4

TYGRYS LEĞŁ W GRUZACH, BO STUDENCI JUŻ SIĘ TAK NIE BAWIĄ...

FOT. JAKUB MLONKA, AKPA

Powiat łódzki wschodni

Poszukiwani złodzieje wpadli, bo się awanturowali

Str. 2

Bezsensowność w Łodzi, gdy basy łupią na Błoniach

Mieszkańcy Retkini i Teofilowa narzekają na głośną muzykę dobiegającą z festiwalu Audioriver. Wielu nie mogło zasnąć przez dwie noce. **Str. 5**

Ulica Wigury

W lipcu rozpocznie się remont kolejnego odcinka

Str. 5

Sport

Skład drużyny ŁKS powoli się krystalizuje

Str. 14



• Krzyżówka • Codzienny horoskop • Plotki, celebryci
• Miejskie sprawy • Regionalne problemy



DYŻUR Codziennie czekamy na Wasze sygnały. Telefon: 797 607 948



Powiat łódzki wschodni. Poszukiwani złodzieje wpadli, bo się awanturowali

Stróże prawa zatrzymali pod Łodzią dwóch przestępców ściganych przez wymiar sprawiedliwości. Obaj byli poszukiwani za kradzieże i obaj wpadli podczas awantury. Zaczęło się w sobotę przed godz. 6, kiedy patrol policji został wezwany do małej miejscowości koło Koluszek. Doszło tam do awantury między mieszkanką i jej narzeczonym. Kobieta wezwała policjantów, a oni zatrzymali awanturnika. Okazał się nim 32-letni łódzianin, który był ścigany za kradzieże. Kolejna awantura wybuchła w niedzielę po godz. 22 na dworcu PKP w Koluszkach. – Policjanci zastali tam grupę młodych osób, wśród których był 41-letni mieszkaniec woj. podkarpackiego poszukiwany przez Prokuraturę Rejonową w Rzeszowie za kradzieże. Został zatrzymany – informuje asp. Aneta Kotynia z Komendy Powiatowej Policji dla pow. łódzkiego wschodniego w Koluszkach. **WP**

Ulica Milionowa. Ukradli 80 tys. zł w biały dzień, żaden sąsiad ich nie widział i nie słyszał

3 godziny 40 minut - na tyle w minioną niedzielę wyszli z mieszkania przy ul. Milionowej jego gospodarze. W tym czasie złodzieje splądrowali mieszkanie i ukradli 80 tys. zł. – W godz. 10.50-14.30 doszło do włamania i kradzieży mieszkania u zbiegu ul. Milionowej i Przędzalnianej. Złodzieje weszli do budynku głównym wejściem od ul. Milionowej, czuli się bezkarni. Sąsiedzi nic nie widzieli, a monitoring na budynku jest atropą” - czytamy w komunikacie z prośbą o pomoc opublikowanym w sieci. **LS**

Błąkał się na ul. Nad Niemnem. Kto go rozpoznaje?

Ten 4-letni pies został znaleziony na ul. Nad Niemnem. 8 lipca trafił do schroniska dla zwierząt. Waży 38 kg. Jego właściciel lub osoba, która chciałaby go przysiąść, może zadzwonić pod nr: 501 437 232, 724 402 447 lub 785 500 377.



AUTOPROMOCJA

Prenumeruj
„Express
Ilustrowany”

tel. 42 715 80 68
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.expressilustrowany.pl

Tragedia na peronie w Pabianicach. Do tej pory nikomu nie przedstawiono zarzutów

Śmierć 70-letniej kobiety na dworcu PKP w Pabianicach to jedna z najbardziej szokujących tragedii w tym roku w woj. łódzkim. Gdy pociąg ruszył, seniorka wpadła między wagon a betonową ścianę, straciła nogę uciętą przez koła i konała samotnie w noc zimową na pustym peronie.

W sprawie tego zdarzenia, od którego upłynęło już pięć miesięcy, śledztwo wszczęła Prokuratura Rejonowa w Pabianicach. Przesłuchano kierownika pociągu i konduktorki. – Uzupełniano materiał dowodowy poprzez uzyskanie dokumentacji z komisji wypadków kolejowych oraz decyzji podjętych przez Komendę Główną SOK oraz przesłuchano kierownika pociągu i konduktorki. Ponadto koniecznym było ponowne przesłuchanie bezpośredniego świadka zdarzenia. Na obecnym etapie postępowania nie przedstawiono nikomu zarzutów. W trakcie przygotowania jest postanowienie o powołaniu biegłego z zakresu bezpieczeństwa transportu kolejowego – informuje Paweł Jasiak z Prokuratury Okręgowej w Łodzi.

Wspomniany świadek to kobieta, która zauważyła, jak 70-lątka wni-



FOT. ARCHIWUM

Strażacy wydobyli 70-latkę leżącą między lokomotywą i betonową ścianą peronu na stacji w Pabianicach. Nie żyła od kilku godzin.

sła do pociągu jedną torbę, potem zeszła na peron po drugą. Niestety, pociąg ruszył i seniorka znalazła się pod kołami.

Jej ciało znaleziono w sobotę, 7 lutego, o godz. 8.15 na peronie dworca PKP przy ul. Łaskiej w Pabianicach. Maszynista jadącego w stronę Łodzi pociągu Intercity relacji Wrocław-Białystok zauważył kobietę leżącą przy torach. Zahamował. Strażacy wydobyli 70-latkę leżącą między lokomotywą a betonową ścianą pe-

ronu. Nie żyła. Ruch pociągów został wstrzymany. Z początku wydawało się, że to właśnie ten pociąg potrafił seniorce.

Prawda była bardziej wstrząsająca. Okazało się, że kobieta została potrącona kilka godzin wcześniej, po godz. 2, przez pociąg relacji Zakopane-Swinoujście, do którego wsiadała z dwiema torbami. Pociąg odjechał, a ona - ciężko ranna - została na peronie. Zmarła wskutek wykrwawienia.

WIESŁAW PIERZCHAŁA

AKCJA AGENTÓW CBA

Agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego zatrzymali kolejną osobę w śledztwie dotyczącym korupcji i łamania przepisów przez funkcjonariuszy służby więziennej.

Dochodzenie w tej sprawie od kilku miesięcy prowadzi agencja łódzkiej delegatury CBA.

CBA informuje, że zatrzymany przekroczył swoje uprawnienia jako funkcjonariusz publiczny. „W swoim prywatnym miejscu zamieszkania przechowywał dokumentację służbową, do której nie miał prawa wyłącznego dysponowania” – podało

biuro prasowe CBA. Zatrzymanie 45-letniego funkcjonariusza miało miejsce pod siedzibą Aresztu Śledczego w Łowiczu. Podczas przesłuchania w Prokuraturze Okręgowej w Łodzi 45-latek nie przyznał się do winy i odmówił składania wyjaśnień. Po przesłuchaniu został zwolniony. Prokurator zastosował wobec niego dozór policyjny. Wcześniej zatrzymano dwóch funkcjonariuszy służby więziennej, którzy zostali aresztowani tymczasowo. Wszyscy zatrzymani w tej sprawie to funkcjonariusze Aresztu Śledczego w Łodzi. Śledztwo ma charakter rozwojowy, można spodziewać się kolejnych zatrzymań. **WP**



FOT. CBA

ŁÓDZIANKA JEST ZBULWERSOWANA, ŻE W SZPITALNEJ IZBIE PRZYJĘĆ NIE UDZIELONO JEJ PIERWSZEJ POMOCY

Odeśłali poparzoną

Anna Kusideł późnym wieczorem tak poparzyła się wrzątkiem, że ma pęcherze na ręce, piersiach i brzuchu. Pojechała na izbę przyjęć do najbliższego szpitala, ale tam - jak twierdzi - medycy nawet nie obejrzeliby obrażeń, tylko odeśłali ją z kwitkiem. - Wyśmiali, okłamali i poprosili, abym wyszła - opowiada zbulwersowana.

LILIANA BOGUSIAK-JÓZWIAK

Do wypadku doszło tydzień temu, we wtorek późnym wieczorem w mieszkaniu łodzianki. - Gdy podniosłam szklaną butelkę, do której wlałam dopiero co przygotowaną wodę, dno butelki odpadło, a wrzątek wyłał mi się na rękę, piersi i brzuch - opowiada Anna Kusideł. - Weszłam

pod prysznic, aby schłodzić skórę i przez 15 minut stałam pod strumieniem zimnej wody. Następnie wezwałam taksówkę i pojechałam do najbliższego szpitala, przy ul. Północnej 42. Na izbie przyjęć było wielu medyków, ale ani jednego pacjenta. Pomocy jednak nie otrzymałam.

Służba zdrowia

Anna Kusideł zapowiada, że złoży skargę na zachowanie personelu medycznego szpitala do NFZ i biura Rzecznika Praw Pacjenta.

Poparzona łodzianka wyjaśniła pielęgniarcę, która zapytała ją o powód wizyty, że poparzyła ciało i odczuwa silny ból. Mówi, że, gdy tłumaczyła, jak doszło do wypadku, z izby przyjęć wyszło kilku medyków, a od jednego z nich - młodego mężczyzny w niebieskim uniformie - usłyszała, że w szpitalu nie udzielą jej pomocy, bo nie mają oddziału wewnętrznego ani chirurgii.

- Gdy zapytałam, co w takim razie zrobią, gdy pacjent na oddziale poparzy się wrzątkiem, mężczyzna śmiejąc się odpowiedział mi, że odeśle go karetką do szpitala, w którym jest oddział wewnętrzny - wspomina Anna Kusideł. - Na pyta-

nie, dlaczego nie udzieli mi pomocy, skoro jestem w szpitalu znajdującym się najbliżej mojego domu, śmiejąc się, odpowiedział, że nie ma czym.

Pani Anna ze szpitala pojechała do całonocnej apteki po środek na oparzenia. Kolejnego dnia udała się po pomoc do szpitala im. Barlickiego.

Z prośbą o ustosunkowanie się do zarzutów sformułowanych przez łodziankę zwróciliśmy się do dyrekcji szpitala MSWiA. Poinformowan nas, że placówka przeprowadzi postępowanie wyjaśniające i zostaniemy poinformowani o jego wyniku. Po kilku dniach otrzymaliśmy odpowiedź.

W piśmie sygnowanym przez lekarza naczelnego szpitala Barbarę

Zajączkowską czytamy, że przeprowadzono stosowne postępowanie wyjaśniające. Szpital nie potwierdza opisu zdarzenia, który przedstawiła nam poparzona łodzianka.

„Charakter schorzenia, z którym zgłosiła się pacjentka predysponował do leczenia w zakresie chirurgii ogólnej, a nie na oddziale chorób wewnętrznych. Stopień zaawansowania schorzenia zgłoszony przez pacjentkę nie kwalifikował się do leczenia w warunkach szpitalnych” - czytamy w odpowiedzi nadesłanej na nasze pytanie.

Jak pisze dalej przedstawiciel szpitala, placówka nie wykonuje świadczeń ostro dyżurowych, a jedynie świadczenia planowe.

„Oczywistym jest fakt, że (...) posiada Oddział Chorób Wewnętrznych, który całonocowo świadczy usługi, jednakże w tym przypadku nie miało to uzasadnienia” - napisano w odpowiedzi na nasze zapytanie.

- Izby przyjęć udzielają pomocy w stanach nagłych - tak jak SOR. Osoba, która się zgłosiła powinna albo uzyskać pomoc, albo zostać skierowana do nocnej pomocy (jeśli nie jest to stan wymagający pomocy w izbie przyjęć lub szpitalu) - wyjaśnia Anna Leder, rzecznika łódzkiego oddziału NFZ.

MATERIAL INFORMACYJNY PGE

0011548584

PGE uruchamia nowe programy społecznej odpowiedzialności biznesu

Grupa PGE w 2026 roku znacząco zwiększa skalę działań w obszarze społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR), rozwijając zarówno dotychczasowe inicjatywy środowiskowe, jak i uruchamiając nowe programy w obszarach nauki oraz zdrowia. Podczas inauguracji nowych programów PGE i Lasów Państwowych podpisały także list intencyjny o ogólnopolskiej współpracy.



List intencyjny z Lasami Państwowymi Podczas inauguracji nowych programów przedstawiciele PGE i Lasów Państwowych, w obecności wiceministra klimatu i środowiska, podpisali list intencyjny o ogólnopolskiej współpracy.

- List intencyjny podpisany z Lasami Państwowymi, przenosi naszą współpracę na poziom ogólnopolski. Jednak jego prawdziwa wartość leży nie tylko w podpisach, ale w pracy i zaufaniu, które budujemy wspólnie od prawie ćwierć wieku w ramach programu „Las pełny energii”. Jednocześnie jestem bardzo dumna, że w naszym progra-

mie uczestniczą wszystkie 23 parki narodowe w Polsce - dodała wiceprezeska Katarzyna Rozenfeld. Mikołaj Dorożała, wiceminister klimatu i środowiska powiedział między innymi, że współpraca największej grupy energetycznej w kraju z parkami narodowymi i Lasami Państwowymi pokazuje, że rozwój sektora i ochrona przyrody mogą się wzajemnie wzmocniać. - Cieszę się, że spółki z udziałem Skarbu Państwa biorą odpowiedzialność za dobro wspólne - dodał Mikołaj Dorożała. Cezary Świątek, zastępca dyrektora generalnego Lasów Państwowych ds.

zrównoważonej gospodarki leśnej odczytał list od dyrektora generalnego Adama Wasiaka, w którym zwrócił on między innymi uwagę, że podpisany list intencyjny jest nie tyle początkiem współpracy, ile wyrazem woli jej dalszego rozwoju. - Nasza współpraca z PGE ma solidne podstawy. Program „Las pełny energii” doczekał się już 26 edycji, a wspólnie działania - od sadzenia lasów, przez ich sprzątanie, aż po ochronę ekosystemów i eliminowanie gatunków inwazyjnych - przynoszą wymierne efekty dla bioróżnorodności - powiedział Cezary Świątek.

Oprócz ochrony przyrody koncern rozwija również działania edukacyjne w ramach programu PGE Energia Nauki.

- W ubiegłym roku rozpoczęliśmy lekcje o energetyce przyszłości dla blisko 7 tys. uczniów. Dziś współpracujemy z dwunastoma instytucjami - od muzeów po jednostki Polskiej Akademii Nauk - i tworzymy także miejsca, w których młodzi ludzie mogą samodzielnie prowadzić eksperymenty - dodała Rozenfeld.

Nowy filar: zdrowie

Trzeci filar działań, czyli program PGE Energia Zdrowia, łączy projekty realizowane na rzecz społeczeństwa oraz pracowników Grupy.

- Program PGE Energia Zdrowia pokazuje, że żaden projekt nie powiedzie się bez zdrowych ludzi. Dlatego pomagamy między innymi wracać do pracy osobom po kryzysach i chorobach, a także wspieramy zdrowie psychiczne dzieci i seniorów oraz pomoc osobom z niepełnosprawnościami i chorobami onkologicznymi - podsumowała wiceprezeska.

Kluczowe programy

Za wsparcie formalne i organizacyjne oraz współpracę z partnerami odpowiada Fundacja PGE.

PGE Energia Natury. Program środowiskowy jest realizowany od kilku lat i koncentruje się na ochronie przyrody oraz edukacji ekologicznej. W 2026 roku został rozszerzony. W ramach programu wsparcie otrzymało 31 beneficjentów, podczas gdy wcześniej było ich 22, a jego wartość przekroczyła 3,69 mln zł, wobec 2,4 mln zł w poprzednim

okresie. Współpraca objęła wszystkie 23 parki narodowe, podczas gdy wcześniej obejmowała 14.

PGE Energia Nauki. Jest to nowy obszar działań, który koncentruje się na rozwoju edukacji, popularyzacji nauki oraz wspieraniu kompetencji przyszłości. Program obejmuje wsparcie muzeów przyrodniczych i geologicznych, jednostki PAN, regionalne centra edukacji naukowej oraz projekty edukacyjne realizowane na rzecz lokalnych społeczności. W jego ramach nawiązano współpracę z 12 instytucjami naukowymi i edukacyjnymi, a wartość udzielonego wsparcia przekroczyła 2,26 mln zł.

PGE Energia Zdrowia skupia się na działaniach odpowiadających na rosnące potrzeby zdrowotne społeczeństwa i pracowników. W ramach programu przekazano ponad 2,14 mln zł wsparcia oraz nawiązano współpracę z 9 partnerami projektowymi. W samej spółce prowadzone są również działania wewnętrzne, które obejmują rozwój profilaktyki zdrowotnej oraz zwiększanie dostępności badań dla pracowników.

LUMUMBOWO

Tygrys legł w gruzach, bo studenci już się tak nie bawia

Przed laty tętnił życiem, muzyką i studenckimi imprezami. Dziś po dawnym klubie Tygrys pozostaną już tylko wspomnienia. Na osiedlu akademickim przy ul. Lumumbi trwa rozbiórka jednego z najbardziej rozpoznawalnych miejsc na studenckiej mapie Łodzi.

JAKUB MLONKA

Był symbolem studenckiego życia na Lumumbowie, miejscem koncertów, imprez i pierwszych studenckich miłości. Teraz legendarny Tygrys znika z osiedla akademickiego. Politechnika Łódzka rozpoczęła rozbiórkę dawnego klubu studenckiego, a przy okazji ucina pojawiające się wśród mieszkańców spekulacje dotyczące przyszłości tego miejsca.

Kilka dni temu koło „Tygrysa” pojawił się ciężki sprzęt. Rozpoczęła się rozbiórka budynku, który od lat stał opuszczony i stopniowo popadał w ruinę.

Klub był połączony z najstarszym akademikiem na Lumumbowie, czyli z nale-

żącym do Politechniki Łódzkiej DS Tygrys. Co będzie w miejscu zburzonego obiektu?

- Uczelni udało się zabezpieczyć środki na rozbiórkę dawnego klubu studenckiego, który od wielu lat był już nieużytkowanym i niszczącym budynkiem. Prowadzone obecnie prace rozbiórkowe potrwać jeszcze przez najbliższe kilka dni - mówi Ewa Chojnacka, rzeczniczka Politechniki Łódzkiej.

Wśród mieszkańców i w mediach społecznościowych zaczęły pojawiać się spekulacje, że teren po dawnym klubie Tygrys został sprzedany deweloperowi, który wybuduje tam nowy obiekt mieszkalny lub usługowy.

- Nie jest prawdą, że uczelnia sprzedawała ten teren



FOT. JAKUB MLONKA

W miejscu zburzonego klubu posadzone będą drzewa

deweloperowi lub prowadzi rozmowy dotyczące jego zabudowy. Po zakończeniu rozbiórki teren po dawnym klubie zostanie uporządkowany i zamieniony w przestrzeń zieloną dostępną dla mieszkańców osiedla akademickiego i studentów - podkreśla Ewa Chojnacka

KONIEC PEWNEJ EPOKI

Rozbiórka dawnego klubu to kolejny symbol zmian zachodzących na akademickiej mapie Łodzi. Tętniące przed laty życiem kluby stoją puste, bo zmieniły się zwyczaje. Młodzi ludzie wolny czas spędzają inaczej, często patrząc w swoje telefony.

Choć dla obecnych studentów Tygrys był już przede wszystkim opuszczoną rudą, u wielu starszych Łoźian wywołuje wspomnienia.

- Wracają wspomnienia z czasów studenckich. To było kultowe miejsce, były pierwsze koncerty i studenckie miłości. Oj, dużo można by opowiadać. Szkoda tego miejsca - mówi pan Jarosław, 57-letni mieszkaniec niedalekiej ulicy Styrskiej, którego spotkaliśmy podczas spaceru z psem.

O rozbiórce dowiedział się kilka godzin wcześniej od żony.

- Rano szła na tramwaj i napisała mi SMS-a, że roz-



FOT. ARCHIWUM

Początek XX wieku. Już wtedy Tygrys lata swojej świetności miał za sobą.

bierają naszego Tygrysa. Chodziliśmy tam bardzo często, jeszcze przed zarę-

czynami. Były tam koncerty, dyskoteki, występy kabaretów...

Nekrologi i kondolencje zlecisz

osobiście w Biurze Ogłoszeń,
Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19

Zadzwoń

502 499 119, 502 499 127

lub przez **internetowe biuro**
ibo.polskapress.pl

Nekrologi i kondolencje ukazują się w prasie oraz w serwisie nekrologi.net

Nawet 100 tys. zł na wymianę kopciucha. Można składać wnioski

Łoździanie mogą skorzystać z miejskiego dofinansowania i wymienić stary piec węglowy na inne źródło ciepła. Rozpoczął się nabór wniosków w programie „Łódź OddychaMY”, potrwa do 30 września.

Dotację można otrzymać m. in. na podłączenie do sieci ciepłowniczej lub gazowej, montaż ogrzewania elektrycznego, pompy ciepła lub

kotła na pellet spełniającego wymagania programu. Warunkiem uzyskania dofinansowania jest trwałe wyłączenie z użytkowania starego źródła ciepła na paliwo stałe.

O wsparcie mogą ubiegać się osoby fizyczne, wspólnoty mieszkaniowe, przedsiębiorcy oraz inne uprawnione podmioty. Kwota dotacji może wynieść maksymalnie 100 tys. zł.

Wnioski można składać osobiście w Urzędzie Miasta Łodzi, elektronicznie za pośrednictwem platformy ePUAP lub przez e-Doręczenia. Szczegółowe informacje, formularze oraz regulamin naboru dostępne są na stronie internetowej Urzędu Miasta Łodzi.

- Warto skorzystać, ponieważ program ten przynosi realne efekty. Tylko w 2025 roku

dzięki miejskim dotacjom w Łodzi zlikwidowano 207 nieekologicznych pieców, zastępując je nowoczesnymi źródłami ciepła. Każda wymiana oznacza mniej zanieczyszczeń trafiających do atmosfery, a tym samym czystsze powietrze w mieście i lepszą jakość życia mieszkańców. Program pozwala również znacząco obniżyć koszty inwestycji, dlatego warto złożyć wniosek i skorzystać z dofinansowania, zanim pula środków zostanie wyczerpana - zachęca Małgorzata Antczak z biura promocji UMŁ.

JACEK ZEMLA

**WŁADZE ŁÓDZI PRZEDŁUŻĄ UMOWĘ
Z ORGANIZATORAMI FESTIWALU?**

Bezsenność w Łodzi, gdy basy tupią na Błoniach

Łodzianie narzekają na głośną muzykę i całonocny hałas dobiegający z terenu festiwalu Audioriver. Wielu nie mogło zasnąć przez dwie festiwalowe noce. Specjalista szacuje, że hałas powodujący zaburzenia snu mógł objąć nawet 100 tysięcy osób!

**JACEK ZEMŁA,
DARIUSZ PAWŁOWSKI**

– To były dwie koszmarnie noce – mówi pani Monika, mieszkanka Teofilowa. – Pomimo zamkniętych okien cała nasza rodzina nocą musiała słuchać dudnienia i niskich

dźwięków wprawiających szczyby w drzenie. Do czwartej rano nie zmrużyliśmy oka i to dwie noce pod rząd! – podkreśla nasza Czytelniczka

Nie tylko rodzina pani Moniki miała problemy z zaśnięciem z powodu festiwalowych hałasów. Także pan Bogdan mieszkający na ob-



FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

W tym roku na festiwal muzyki elektronicznej na Błoniach w Łodzi przybyło mniej osób niż w latach ubiegłych. Muzyki, chcąc nie chcąc, słuchało znacznie więcej osób...

rzeżach Łodzi przy ul. Bylinowej cierpiał na przymusową bezsenność.

– Pracuję w systemie turnusowym i w niedzielę musiałem iść do pracy. To odpowiedzialna praca, nie mogę być niewyspany i półprzytomny, dlatego staram się wyspać. Niestety, z soboty na niedzielę było to niemożliwe. Przez ciągły hałas i muzykę dobiegającą do moich uszu nie zasnąłem niemal

wcale. Szkoda, że organizatorzy nie pomyśleli o ludziach, którzy nie mogą się dobrze bawić, bo mają inne obowiązki.

CO MÓWI EKSPERT?

Jak ważny jest dobry i niezakłócony sen, mówi nam dr Maciej Kozakiewicz, instruktor stowarzyszenia Slow Jogging Polska.

– Ludzie nie doceniają wpływu snu na zdrowie ca-

łego organizmu, tymczasem jest on ogromny. Z jakiegoś powodu w większości państw została wprowadzona cisza nocna. Ma ona chronić ludność przed hałasem, aby mieszkańcy mogli spać nieprzerwanie i regenerować organizm. I tak już mamy wiele czynników, które nam ten sen zaburzają – np. skażenie środowiska światłem, hałas uliczny, przemysłowy czy dobiegający z dróg szybkiego

ruchu. Szacuję, że zasięg hałasu z odbywającego się w weekend festiwalu Audioriver mógł objąć ponad 100 tys. osób śpiących w tym czasie. Dlatego postuluję, aby imprezy tego typu, tzn. na otwartej przestrzeni, z głośną muzyką, mogły się odbywać maksymalnie do godz. 24. Jeżeli trwają dłużej, to powinny być organizowane w zamkniętych obiektach, jak choćby Atlas Arena. To byłby kompromis pomiędzy amatorami słuchania muzyki oraz tymi, którzy chcą spokojnie spać.

Z A ROK POWTÓRKA Z ŁOMOTANIA?

Jubileuszowa, 20. edycja Audioriver Festiwalu była trzecią, ostatnią w Łodzi w ramach umowy organizatorów z naszym miastem. Według nieoficjalnych informacji umowa zostanie jednak przedłużona na kolejne lata, prawdopodobnie aż do roku 2030.

Przypomnijmy, że pierwsza umowa między organizatorami festiwalu Audioriver a Łódzkim Centrum Wydarzeń obejmowała lata 2024-2026 i gwarantowała m.in. 1,8 mln zł dotacji w pierwszym roku i w kolejnych po średnio dwa miliony.

W lipcu rozpocznie się remont kolejnego odcinka ul. Wigury

Drogowcy oddali ul. Żwirki. Wymalowano nowe pasy na nowej, gładkiej nawierzchni z asfaltu. Ulicą można bez przeszkód jeździć w obu kierunkach. Piesi natomiast mają do dyspozycji nowe chodniki i dodatkowe przejście przy Szkole Podstawowej nr 46.

Pod nawierzchnią wymieniono także wodociąg. No-

wością na ul. Wigury jest dodatkowe przejście dla pieszych przy szkole. Zapewni ono wygodne i bezpieczne połączenie między dwiema stronami osiedla i dwiema szkołami. Był to wniosek mieszkańców i rady osiedla, zgłoszony na spotkaniach konsultacyjnych dotyczących remontów dróg w Śródmieściu.

Zgodnie z zapowiedziami, po wykonaniu pierwszego odcinka rozpocznie się remont ul. Wigury od ul. Sienkiewicza do ul. Kilińskiego. Prace wystartują po 20 lipca. Wymieniony zostanie wodociąg, a następnie drogowcy wykonają nową konstrukcję drogi, wyremontują chodniki, przystanek autobusowy oraz miejsca parkingowe.



FOT. UWE

Na wyremontowanym odcinku ul. Wigury trylinkę zastąpił asfalt.

Powstanie też utwardzony parking u zbiegu ul. Wigury z ul. Kilińskiego, w miejscu,

gdzie obecnie kierowcy parkują auta na klepisku. Podczas prac przejazd ul. Wigury

będzie zachowany w jednym kierunku – do ul. Kilińskiego.

JACEK ZEMŁA

AKCJA CHARYTATYWNA

0111543850

ZNÓW SIĘ NIE UDAŁO...

Nawet astronauta nie pomógł. Centrum Europejskiej Agencji Kosmicznej nie dla Łodzi

Nadzieja była. Łódź wyraziła zainteresowanie, minister finansów i gospodarki spotkał się z przedstawicielami miasta, nasz astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski podkreślał, że jest łodzianinem i miało to pomóc. Premier Donald Tusk ogłosił wczoraj jednak, że Centrum Europejskiej Agencji Kosmicznej w Polsce będzie miało swoją siedzibę w Warszawie.

DARIUSZ PAWŁOWSKI

List intencyjny w sprawie budowy ośrodka strona polska i ESA (European Space Agency – Europejska Agencja Kosmiczna) podpisały pod koniec listopada ubiegłego roku. Na odbywającym się wówczas w niemieckiej Bremie spotkaniu Rady Ministerialnej Europejskiej Agencji Kosmicznej Polska zobowiązała się przeznaczyć łącznie 731 mln euro na realizację misji ESA, w tym blisko

550 mln euro na programy opcjonalne ESA na lata 2026-2028. Atrakcyjnie brzmiące kwoty, które Łodzi bardzo by się przydały.

W grze o polską siedzibę ESA było w sumie siedem miast – Gdańsk, Poznań, Katowice, Wrocław, Warszawa, Kraków i Łódź – lecz od pewnego czasu mówiło się już tylko o stolicy i Krakowie (m.in. dlatego, że minister finansów i gospodarki Andrzej Domański wywodzi się właśnie z Krakowa). Wydział prasowy Ministerstwa Rozwoju

i Technologii w komunikacji pod koniec czerwca informował: „Minister finansów i gospodarki spotkał się z przedstawicielami zainteresowanych miast, którzy przedstawili potencjał swoich ośrodków w kontekście realizacji tego przedsięwzięcia. Proces wyboru lokalizacji wymagał szczegółowej analizy szeregu czynników, w tym potencjału naukowo-badawczego, dostępności odpowiedniej infrastruktury, zaplecza kadrowego oraz kwestii organizacyjnych”. W oficjalnym ogłoszeniu decyzji o umiejscowieniu siedziby Centrum Europejskiej Agencji Kosmicznej w naszym kraju, podczas konferencji w warszawskim Centrum Nauki Kopernik, wzięli udział premier Donald Tusk, minister finansów i gospodarki Andrzej Domański oraz dyrektor generalny Europejskiej Agencji Kosmicznej Josef Aschbacher. Padło na Warszawę. W Łodzi możemy powiedzieć: no ładne miasto, ale szkoda...

Josef Aschbacher wśród głównych obszarów działalności polskiej placówki wymienił łączność, najnowsze technologie oraz rozwiązania związane z bezpieczeństwem i obronnością. Minister finansów i gospodarki zapowiedział zaś, że przedsięwzięciu mają towarzyszyć poważne nakłady kapitałowe, w tym specjalny fundusz kosmiczny o wartości pół miliarda złotych oraz dedykowana linia finansowania infrastruktury kosmicznej dla polskich samorządów (co może być ważne dla Łodzi). Jednym z celów ESA, realizowanym także z polskich fun-

duży, ma być budowa „pierwszego polskiego statku kosmicznego”. Polska siedziba ESA będzie pierwszym centrum agencji utworzonym poza państwami założycielskimi i pierwszą dużą placówką instytucji w Europie Środkowo-Wschodniej. Warto przypomnieć, że Europejska Agencja Kosmiczna powstała w 1975 r., a Polska dołączyła do niej w roku 2012.

Łódź nie została polską Doliną Krzemową, do czego niegdyś aspirowała, miastem kosmosu jednak też nie będziemy. Adaptując to, co się w naszym mieście udaje, warto jednak poważnie zastanowić się, dlaczego umykają nam tak znaczące projekty, o znaczeniu ogólnopolskim i międzynarodowym, jak właśnie Centrum Europejskiej Agencji Kosmicznej czy wcześniej choćby mistrzostwa Euro 2012 w piłce nożnej i małe „Expo” 2022. Można odnieść wrażenie, że z różnych powodów (także, jak się okazuje po raz kolejny, niewielkiego przełożenia politycznego naszych decydentów na władze centralne) nie jesteśmy traktowani z punktu widzenia Warszawy poważnie. Tym razem przeszły nam koło nosa międzynarodowy prestiż, poważne nakłady oraz mocny impuls rozwojowy dla lokalnego biznesu, uczelni i nauki. Rzeczywistego dołączenia Łodzi do krajowej ekstraklasy i międzynarodowej superligi o bogatej wieloletniej perspektywie nie da się „wyskakać” jedynie na festiwalach...



Sławosz Uznański-Wiśniewski jest łodzianinem, ale nie pomogło to, niestety, w umiejscowieniu Centrum ESA w Łodzi.

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Gwiazdor „Parku Jurajskiego” zmarł w otoczeniu rodziny

Nowozelandzki aktor Sam Neill - znany z ról w takich hitach, jak „Park Jurajski” czy „Fortepian” - trafił w poniedziałek do szpitala w Sydney.

W oświadczeniu opublikowanym na jego profilu na Instagramie rodzina określiła jego śmierć jako „nagłą i niespodziewaną”.

„Sam odszedł 13 lipca w Sydney w Australii w otoczeniu bliskich, z godnością, która

towarzyszyła mu przez całe życie” - poinformowano. „Śmierć ta była nagłą i niespodziewana, jednak pocieszeniem jest fakt, że Sam był wolny od choroby nowotworowej. Rodzina pragnie wyrazić głęboką wdzięczność personelowi prywatnego szpitala St Vincent's za okazaną mu niezwykłą opiekę. W późniejszym terminie zostaną podane kolejne informacje, jednak na ra-

zie - w imieniu rodziny - prosimy o uszanowanie jej prywatności w tym trudnym czasie, gdy mierzy się ona z tą niepożądaną stratą”.

Neill urodził się w Irlandii Północnej w 1947 r. Kiedy miał siedem lat, przeprowadził się z rodziną do Nowej Zelandii. Karierę aktorską rozpoczął pod koniec lat 70., gdy przeprowadził się do Australii. Uznanie zdobył w 1979 r. rolę

w filmie „Moja wspiana kariera” z Judy Davis w roli głównej. W latach 80. XX wieku zagrał między innymi w „Opętaniu” Andrzeja Żuławskiego, „Ivanhoe” i w „Krzyku ciemności”. Dużą popularność zdobył w latach 90., kiedy zagrał w „Parku Jurajskim” Stevena Spielberga. W swoim dorobku miał 150 ról filmowych.

KAZIMIERZ SIKORSKI

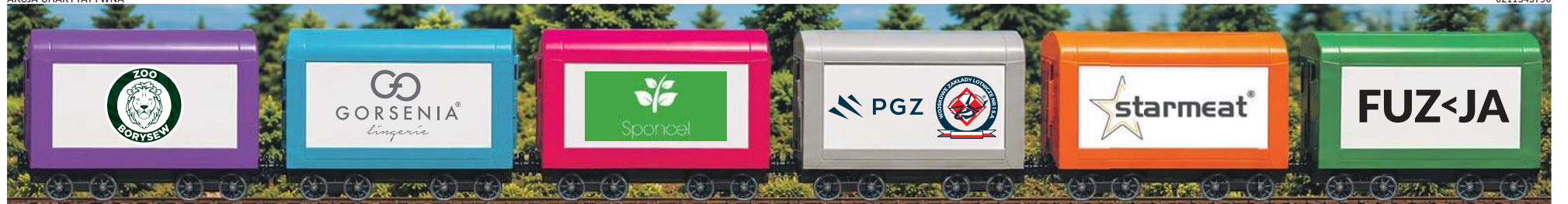


Sam Neill zmarł w wieku 78 lat.

FOT. MAT. PRAS.

AKCJA CHARYTATYWNA

0211543790



Władysław Reymont, carska kolej i apetyt na duże pieniądze

Twórca „Ziemi Obiecanej” ma w CV wstydlivy epizod. Bezpośrednio spowodowany tym, że 13 lipca 1900 r. o godz. 10.40 uczestniczył w katastrofie kolejowej pod Warszawą...

MARIUSZ GRABOWSKI

W katastrofie tej zginęło pięć osób, a 17 zostało rannych. Pisarz uległ jedynie potłuczeniu i nadwyrężył dwa żebra. Ale w wyniku sfałszowanej obdukcji otrzymał od carskiej kolei gigantyczne odszkodowanie - 38 tys. rubli.

CO WIEDZIAŁ DR RAUM?

Sprawa jest delikatna i do dziś budzi spory historyków. Glorifikatorzy dowodzą, że ta góra pieniędzy po prostu mu się należała. Ci bardziej krytyczni twierdzą, że 33-letni wówczas pisarz, mający już za sobą pierwszy sukces literacki - „Ziemię obiecanej”, ale wciąż borykający się z problemami finansowymi, dał się skusić na prawnym-medyczne oszustwo.

Faktem jest, że Reymont z twórczości literackiej utrzymywał się od 1894 r., kiedy przeniósł się do Warszawy. Ale z pieniędzmi było na tyle krucho, że miał m.in. problem ze spłatą 300 rubli zaciągniętej pożyczki. Wpływ na to miały m.in. częste zagraniczne podróże pisarza i jego dość wstawni styl życia.

Znany nazwisko lekarza, który sfałszował raport lekarski - był nim dr Jan Roch Raum, lekarz naczelny w Szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze, pionier polskiej neurochirurgii i m.in. członek Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego. Napisał, że pisarz miał 12 złamanych żeber oraz „inne kontuzje ciała i nie wiadomo, czy będzie nadal zdolny do pracy umysłowej”.

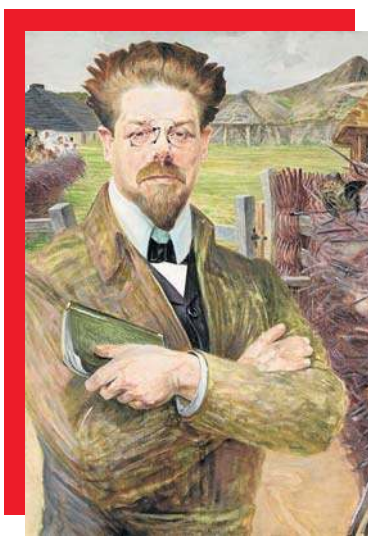
Biograf pisarz Witold Kotowski ustalił, że prócz dr. Rauma zdrowie

Reymonta konsultowali dr Bolesław Jakimiak-Szmurło, ordynator II oddziału chirurgicznego, dr Edward Zieliński, ordynator oddziału wewnętrznego oraz dr Michał Dehnel, który później został osobistym lekarzem Józefa Piłsudskiego.

ZMIANA NARRACJI

Udział dr. Rauma w aferze potwierdza fakt, że Reymont bezpośrednio po wypadku leczył się w Szpitalu Praskim. A samą aferę potwierdzają towarzyszące jej doniesienia prasowe. Np. „Kurjer Warszawski” dzień po wypadku w taki sposób opisywał obrażenia Reymonta: „Silny organizm Reymonta szybko powraca do zdrowia. Niedługo po zostanie tylko ślad wypadku w pamięci, jeden więcej epizod do powieści. Tutaj za to wypadek utrwali się na wieki”.

Ale już dzień później narracja gazety uległa zmianie: „Niesłusznie zbagatelizowaliśmy jego chorobę - mówili nam lekarze (...) Najwidoczniejsza jest rana głowy. Musiał o coś silnie uderzyć, ale o co, nie pamięta. Bóle wewnętrzne dały się uczuć nie od razu. Okazało się, że uległ silnemu zgnieceniu klatki piersiowej, stłuczeniu kręgosłupa, co może bardzo niekorzystnie odbić się na jego zdrowiu, zwłaszcza na systemie nerwowym. Tego rodzaju wstrząśnienia nerwowe nie mijają bez złych skutków, choćby nawet nie zostały śladu zewnętrznego. Jedni wariują, innym pozostaje rozstrój, a trzeba pamiętać o tym, że tu chodzi o nerwy i umysł artysty - pisarza, którego twórczości wypadek taki może wiele zaszkodzić.”



REYMONT CIERPIĄCY

Taka nagła zmiana podejścia do stanu zdrowia poszkodowanego może wskazywać, że Reymont postanowił uzyskać jak największą rekompensatę od Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. I to na jej koszt udał się następnie na kurację do Wenecji. Leczył się też w klinikach w Berlinie, Krakowie i Wiedniu. Podczas tych wizyt zbierał opinie, które zamierzał wykorzystać w procesie.

Ale wcześniej, przez półtora miesiąca, przebywał na obserwacji w Szpitalu Przemienienia. I z każdym dniem pobytu w szpitalu pogarszał się też jego stan psychiczny, o czym sumienie pisał w liście do Wandy Szczukowej, z którą łączyła go „demoniczna” relacja intymna: „Rozcięcie głowy się goi, a złamane żebro również, tylko że ani chodzić, ani siedzieć jeszcze nie mogę, zbyt mnie boli krzyż i bok no i sił jeszcze nie mam. Obiecują mi doktorzy, że za jakiś miesiąc ze szpitala wyjdę, a potem na dłuższą kurację całego ustroju nerwowego jechać muszę, tak, że na całą jesień i zimę wysła mnie pewnie do Włoch, nad morze”.

Niedomogi fizyczne pociągały za sobą rozstrojenie nerwowe, a co

za tym idzie zaprzestanie twórczej działalności. Tak zwierzał się siostrze: „Zupełnie nie mogę znieść większego towarzystwa, żadnych głosów ani gwarów, a już muzyka każda doprowadza mnie wprost do omdleń i szmatycznych płaczów”.

PIENIĄDZE, PIENIĄDZE...

W którym momencie Reymontowi przyszło do głowy starć się o odszkodowanie? Czy w chwili, gdy był badany przez dr. Rauma, czy może podczas lektury gazet, np. „Wędrowca”, poczytnego ilustrowanego tygodnika o tematyce podróżniczo-geograficznej.

W jednym z lipcowych numerów pisano w nim: „Ohydne zmierzanie społeczeństwa nigdy może nie ukazało się tak jaskrawie, a przytem tak wstrętnie, jak właśnie teraz, po katastrofie kolejowej pod Włochami (...) W pierwszej chwili ogólne współczucie przejawiało się w rozmowach (...) Ale współczucie to finał swój miało prawie wszędzie w jednym, bardzo znamienym zdaniu: »Ba! ale kolej grubo zapłaci rodzinom«. I zaczęto nawet po handlarsku obliczać, ile zaży swoje wezma ci lub owi. Ale sumować ruble i kopiejki wtedy, gdy trupy jeszcze prawie ciepłe, gdy po szpitalach i domach lekarze nie odstepują łoża poranionych, gdy córka dostaje obłędu po stracie ukochanego ojca - to wstrętne, to świadczące o zaniku uczuć ludzkich” - oburzał się autor podpisany „W1”.

GÓRA RUBELKÓW

Trudno nie odnieść wrażenia, że autoopisy stanów zdrowia pisarza są nie tylko hipochondryczne, ale też mają usprawiedliwić podstawę do ewentualnej rekompensaty. Od biografów Reymonta wiemy, że był nad wyraz wyczulony na punkcie zdrowia - przez całe dorosłe życie zmagał się z poważnymi problemami sercowymi, chorobami dróg oddechowych, żółtaczką, przewlekłą neurastenią, powracającymi stanami depresyjnymi, wreszcie chorobą alkoholową.

Jeszcze lecąc się Reymont wytoczył proces cywilny zarządowi Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Jego sprawę prowadził adwokat, ale także znany pisarz i krytyk literacki Napoleon Hirsband, czyli Cezary Jellenta. Mimo, iż prawdziwą pasją pełnomocnika Reymonta była literatura, to sprawę odszkodowawczą poprowadził wzorowo. Udało mu się dla swojego klienta uzyskać odszkodowanie w wysokości 38 tys. 500 rubli.

Adwokat pisarza żądał co prawda 100 tys. rubli, ale biorąc pod uwagę, że u pokrzywdzonego brak było wi-

docznego kalektwa czy uszkodzeń narządów wygrana suma była i tak imponująca. Reymont kokieteryjnie skomentował całą rzecz w swoim dzienniku: „Wypłacili mi dzisiaj 38 rubli odszkodowania, dosyć jeśli na pogrzeb, za mało jeśli na życie”.

Za mało? Sarkazm pisarza jest co najwyżej jego zgryźliwości. 38 tys. 500 rubli stanowiło nie lada majątek. Dla porównania dworek w Oblegorku, zaprojektowany przez Hugona Kudera, a który zafundowali rodacy Henrykowi Sienkiewiczowi, wart był ok. 51 tys. rubli.

SPOKÓJ, ŚLUB, NOBEL

Pieniądze w dużej części Reymont zainwestował pożyczając 25 tys. rubli swemu krewnemu Konstantemu Jakimowiczowi pod zastaw hipoteczny jego domu. Zgodnie z umową Jakimowicz miał mu wypłacać co roku 1800 rubli w ramach spłaty pożyczki.

Część otrzymanej sumy musiał przeznaczyć na honorarium dla adwokata (pięć tys. rubli), a także na spłatę pożyczek, które zaciągnął po wypadku, właściwie licząc się z pewną wygraną przed sądem. Pieniądze uzyskane z odszkodowania zapewniły mu stabilizację finansową, umożliwiającą mu dalsze prowadzenie wystawnego życia i pełne oddanie się literaturze.

Można zatem powiedzieć, że finansowy szwindel przyniósł dobre owoce: Reymont skończył romans z Wandą Szczukową i zawarł w Krakowie związek małżeński z Aurelią Szablowską z Szacznajdów (świadkami byli Włodzimierz Tetmajer, przyrodni brat Kazimierza Przerwy-Tetmajera, a także Michał Siedlecki), co dało mu wreszcie życiową stabilizację. Na gruncie literackim 38 tys. rubli zaowocowało najpierw „Chłopami”, a następnie „Marzycielem” i „Wampirem”. 24 lata po wypadku pisarz dostał Nobla, pozostawiając w tyle m.in. „Czarodziejską górę” Tomasza Manna.

Zaś podkoloryzowanych ech wypadku z lipca 1900 r. doszukać się można w noweli Reymonta „Senne dzieje” z 1908 r.: „Pociąg się zatargał gwałtownie i runął w coś całą siłą... Wagon podskoczył i spaść się jak koń... padłem na ziemię, a gdy się zerwałem, nieszczęście już się stawało, już ściany szły na siebie... podłoga się zapadała... dach pękał i walił się na głowy... szkło sypało się gradem... już się wszystko łąmało z dzikim krzykiem Chaosu, pękało w zgrzytach (...) prysnęły strugi krwi, błędziły jakieś ręce... »Śmierć! zaraz umrę!« pomysłam jasno, przysłomnie...”

AKCJA CHARYTATYWNA

0011550423



Potomkowie czekają na czas, gdy nie będzie już „dołów śmierci”

11 lipca przypadła 83. rocznica „krwawej niedzieli” na Wołyniu, kulminacji ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach. Najważniejsze jest to, żeby pamiętać, ale jak mówią nasi rozmówcy - bez nienawiści.

RADOSŁAW KONCZYŃSKI

Jan Horoszkiewicz, mieszkaniec Malborka, jest synem nieżyjącego już wołyniaka. Rodzina Horoszkiewiczów z Wołyniem była związana od drugiej połowy XIX wieku, od momentu osiedlenia się na tych terenach głowy rodu, Ludwika, urodzonego w 1846 roku, i jego żony Ewy.

- To nie jest jakaś mglista legenda, tylko twarda archiwalna rzeczywistość. Ci ludzie mieli tam świetnie zorganizowane, mocno ugruntowane życie. Z każdym kolejnym pokoleniem budowali nowe domy, otwierali sklepy, po prostu żyli i poszerzali swoją obecność. Tworzą bardzo mocną społeczność. Wołyn to ich dom, miejsce ciężkiej pracy i wychowywania dzieci. Absolutnie nikt z nich nie spodziewa się tego, jak drastycznie ta rzeczywistość zostanie przerwana - opowiada Jan Horoszkiewicz.

Bestialstwa ze strony ukraińskich nacjonalistów doświadczyli m.in. 9 lutego 1943 roku mieszkańcy Parośli.

- Fakty z tego konkretnego lutowego dnia po prostu porażają. Uzbrowieni napastnicy, którzy ubrani są jak lokalni mieszkańcy i mówią w ten sam sposób, podają się za sowieckich partyzantów, wchodzą do domów, wymuszają gościnę, jedzenie, odpoczynek. Całkowicie usypiają czujność mieszkańców. A potem, zaledwie kilka godzin później, każą im położyć się na podłodze, rzekomo po to, by chronić ich przed niemieckim atakiem. Wtedy zaczyna się bezwzględna masakra, a głównym narzędziem zbrodni są topory i siekiery. W sąsiednich zabudowaniach ginie Klemens Horoszkiewicz wraz z całą swoją rodziną. Jego dwaj nastoletni synowie próbują uciekać, ale zostają schwytani. Są poddawani nieludzkim torturom, rany posypuje się im solą i ostatecznie zostają pozostawieni w śniegu, by tam skonali. Co więcej, z piwnicy domu Klemensa wszystko to obserwuje ocalała rodzina żydowska, którą

Klemens tam wcześniej ukrywał - opowiada Jan Horoszkiewicz.

Szacuje się, że tego jednego dnia w samej tylko kolonii Parośla zamordowano 173 Polaków.

Malborczyk dba, by pamięć o Wołyniu nie przygasła. Jeśli środowiska potomków Wołyniaków proszą, jedzie i wygłasza prelekcje. Ostatnio był w Szczecinie. Opowiadał m.in. o losach swojej ciotki i jej bliskich, którzy mieszkali w Siedlisku, koło Huty Stepańskiej w gminie Stepań. Była to niewielka polska osada należąca do parafii rzymskokatolickiej w Wyrcie.

- Przed wojną Wołyn był dla nas światem spokojnym i bezpiecznym. Żyliśmy pośród pól, lasów i rzek. W niedzielę odwiedzaliśmy rodzinę w Siedlisku, a po mszy w Wyrcie spotykali się krewni i sąsiedzi. Tak wyglądało życie polskiej społeczności na Wołyniu. Wspólne, religijne i rodzinne. Wraz z wojną świat Wołynia zaczął się zmieniać. Najpierw przysłała okupacja sowiecka, potem niemiecka. W czasie okupacji Niemcy rozpoczęli zagładę ludności żydowskiej. Wkrótce Polacy zaczęli dostrzegać narastającą wrogość ukraińskich nacjonalistów. Pod koniec 1942 roku rozpoczęły się pierwsze mordy. Ludzi wywabiano nocą podstępem z domów pod pozorem pomocy partyzantom lub konieczności użyczenia furmanki - wspomina Leokadia Bitner, ciotka pana Jana na przygotowanym przez niego filmiku.

- Mój ojciec Leonard pochodził z Borku, sześć kilometrów od Huty Stepańskiej. Huta Stepańska została zrównana z ziemią - mówi nam z kolei pan Jan. - Nacjoniści wymordowali mu całą rodzinę i narzeczoną.

Leonard Horoszkiewicz był w partyzantce, później w 27 Wołyńskiej Brygadzie Armii Krajowej.

- W partyzantce byli też i Żydzi, i Ukraińcy. Jacy Ukraińcy? Tacy, którzy nie mieli do czego wracać. Z małżeństw mieszanych, którzy za żony mieli Polki. A dlaczego nie mogli wrócić? Były sytuacje, że syn mówił: „Tato, zabij



Poszukiwania mogił zamordowanych Polaków w Hucie Pieniackiej zakończone zostały w czerwcu br.

mamę, mama jest Polka, trzeba mamę zabić” - mówi Jan Horoszkiewicz.

Tylko że te namowy tragicznie kończyły się dla syna, który ginął z ręki ojca. Ludzie stawali przed wyborami, o których nam, dzisiaj, nawet się nie śniło... Z rąk nacjonalistów ginęli też Ukraińcy, którzy sprzeciwiali się rozkazom.

PTAKI JAKBY SŁABIEJ ŚPIEWAJĄ

Sprawami Wołynia ze względów rodzinnych, chociaż nie po więzach krwi, mocno od lat interesuje się dzisiejszy starosta malborski, Piotr Szwedowski.

- Moją „przyszywaną” babcią była osoba z Wołynia. „Przyszywaną” w sensie takim, że mój dziadek owdowiał, mając małe dzieci, i po raz drugi się ożenił. Maria była bardzo dobrą, czułą, wrażliwą kobietą. Wychowała nas, wszystkich wnuków, i wszczepiła zainteresowanie Kresami - mówi Piotr Szwedowski.

Wzmianka o pani Marii pojawia się w znanej publikacji Henryka Cybulskiego pt. „Czerwone noce”.

- On opisuje wydarzenia z Przebraża, które przeżyła też moja babcia. To była największa samoobrona. Duża wieś, która się ufortyfikowała. Tą samoobroną zarządzał właśnie Henryk Cybulski. Miejscowi Polacy otwierali swoje domostwa, gospodarstwa. Uciekinierzy coraz bardziej się gromadzili. Żyli też w stodołach, budowali prymitywne szałas. Miałem okazję być w Przebrażu kilkanaście lat temu. Widziałem dobrze utrzymany cmentarz po obrońcach Przebraża. Groby były oznaczone biało-czerwonymi wstążkami. Warto chyba dodać, że w Malborku jest, być może jedyna w Polsce, ulica Obrońców Przebraża.

Wielu wołyniaków przyjechało do ponieckiego Malborka pierwszym transportem, którego przybycie datowane jest na 18 maja 1945 roku.

- Dzięki babci znałem środowisko kresowików dość dobrze. Na początku XXI wieku jeszcze żyli ludzie, którzy pamiętali, ogarniali

swoją pamięcią tamte zdarzenia z Wołynia i sporo z nimi rozmawiałem. Podczas rozmów ciągle pojawiał się dworzec kolejowy. Mówili o tym, ile było w nich niepewności, takiego lęku, jak tu przyjechali. O tym, że całymi dniami czy nawet tygodniami koczowali na dworcu, bali się wyjść. Wypuszczali czujki, czyli ludzi, którzy chodzili, patrzyli, co tu jest, czy można zamieszkać. Niektórzy się zdecydowali. Ten dworzec i doświadczenie pierwszego transportu było tak żywe i istotne w ich opowiadaniach, że zaproponowałem przygotowanie tablicy pamiątkowej poświęconej temu wydarzeniu, która od 2010 roku znajduje się na budynku dworca kolejowego - mówi Piotr Szwedowski.

Przed jej wykonaniem konsultował się z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, wołyniakiem.

- Ale to dzięki Marii Keńskiej-Wyszyńskiej, z którą dużo rozmawialiśmy, powstał tekst. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ta tablica stanie się punktem obchodów 11 lipca (bo dopiero kilka lat później został ustanowiony państwowy dzień pamięci - red.). Ona bardziej związana była w mojej świadomości z przybyciem przesiedleńców, ale jedno zdanie, które tam umieściliśmy, sprawia, że było to jedno z pierwszych miejsc w Polsce upamiętniające ofiary rzezi wołyńskiej, ofiary nacjonalistów ukraińskich. Tak mi powiedział wtedy ksiądz Isakowicz-Zaleski. Jak zobaczył ten tekst, bardzo się wzruszył - mówi Piotr Szwedowski.

Podczas wspomnianego pobytu na Wołyniu kilkanaście lat temu Piotr Szwedowski zobaczył miejsca, których już nie ma. Był m.in. w Hucie Pieniackiej (gdzie ostatnio zakończono poszukiwania mogił).

- Byciu w tych miejscach towarzyszy takie uczucie, jak gdyby przebywało się wśród cieni. Wydaje się, że tam nawet ptaki słabiej śpiewają. Nie wiem, jak to jeszcze nazwać, ale nawet ta przyroda nie maskuje nieobecnych, nieistniejących już miejscowości. Widać wydeptane stare dukty, gdzieś w polu nagle ja-



Janowa Dolina na Wołyniu była osiedlem robotniczym przy kopalni bazaltu, zamieszkiwanym przez 2,5 tys. osób. Po pierwszych atakach UPA na Polaków na Wołyniu, od początku 1943, liczba ta powiększyła się o kilkuset uciekinierów. 23 kwietnia 1943 oddziały UPA z okolicznymi Ukraińcami napadły na Janową Dolinę. Miejscowość została ostrzelana. Banderowcy podpalili domy i wrzucali do nich granaty. Uciekający Polacy byli zabijani z broni palnej, siekierami i widłami. Według wspomnień Janiny Pietrasiewicz-Chudy część dzieci wbito na pale. Inni zginęli w płomieniach lub udusili się dymem w piwnicach, gdzie usiłowali się schronić. Upowcy podpalili szpital, po uprzednim wyniesieniu z niego pacjentów narodowości ukraińskiej. Trzyosobowy personel szpitala został zamordowany siekierami, a polscy pacjenci zginęli w płomieniach, lub według innej wersji również zostali zabici przed budynkiem. Na zdjęciu osiedle robotnicze w Janowej Dolinie, rok 1939.

kąś kapliczkę albo las, który jest jakiś inny niż ten wkoło - mówi Piotr Szwedowski.

Zapomnienie - które oczywiście nie dotyczy samych rodzin wołyńskich - panowało w Polsce przez całe dziesięciolecie. Wołyń pod tym względem trochę przypomina Katiń. Tylko oprawcy byli inni.

- Myślę, że to jest bardzo dobra analogia. Jeżeli ktoś miał w swojej rodzinie ten przekaz, to oczywiście miał wiedzę i większą świadomość. Natomiast nie umiem powiedzieć, dlaczego już po roku 1990 długo nie mówiło się powszechnie o rzezi wołyńskiej. Sam fakt, że ta nasza tablica z 2010 roku była jedną z pierwszych. Widzimy też, jakie film Wojciecha Smarzowskiego „Wołyń” wywołał zdziwienie - mówi Piotr Szwedowski.

Wydaje się jednak, że świadomość zaczyna rosnąć. Kolejną „cegiełką” będzie nowy pomnik, który zostanie odsłonięty w najbliższą niedzielę w Malborku.

- Każdy nacjonalizm jest złem i zawsze prowadzi do zbrodni. Każdy, niezależnie od tego, jaki ma przymiotnik, jakiego narodu dotyczy. Ukraiński nacjonalizm z tamtych czasów był bardzo brutalny, taki pierwotny. Zawsze celem nacjonalizmu jest unicestwienie czy poniżenie obcego. W tym przypadku celem było nie tylko zabić, unicestwić, ale też wymazać z historii, z czasu i przestrzeni miejsca, w których ci „obcy” żyli. Dlatego polskie miejscowości na Wołyniu były całkowicie niszczone i wypalane. Oczywiście tego się nie da zrobić ze Lwowem czy Równem, ale z każdą inną małą miejscowością, gdzie można było zatrzeć ślady - już tak. Dzięki tej drugiej tablicy, którą teraz odsłaniamy, robimy rzecz odwrotną. Wydoby-

wamy z mroków pamięci miejscowości, po których dzisiaj nie ma śladów - mówi Piotr Szwedowski.

Na nowym pomniku zostały wymienione nazwy, o których pamiętają potomkowie Wołyńiaków mieszkający dzisiaj w powiecie malborskim.

- To były przysiółki, wioski, kolonie niewielkie, gdzie mieszkało kilka, kilkanaście rodzin. Kiedy ci ludzie odeszli, to i świadomość, że takie miejscowości były, odeszła, ale my dzisiaj tą tablicą przywołujemy pamięć o korzeniach, pewnym rodowodzie mieszkańców naszego miasta, powiatu. Myślę, że zapisanie w kamieniu nazw tych miejscowości, skazanych na całkowitą anihilację, na całkowite zniszczenie, jest jakby trochę pokrzyżowaniem planów nacjonalistów - dodaje Piotr Szwedowski.

Pomysłodawcą pomnika był Jan Horoszkiewicz, który z kolei mówi, że natchnął go ksiądz Isakowicz-Zaleski. - Pięć lat temu byłem zaproszony na uroczystości do Prabut. Tam już była tablica, a ksiądz się pyta: „A dlaczego nie ma w Malborku?”. Powiedział, żeby nazwisk nie podawać, tylko wszystkie miejscowości, skąd ci ludzie się wzięli w Malborku - mówi pan Jan.

Początkowo nazwy osobiście od mieszkańców zbierał Piotr Szwedowski. - Ludzie przynosili je spisane na karteczkach, czasem trzeba było odczytywać, odszukiwać. Osobiście weryfikowałem każdą z tych nazw. Potem była kolejna weryfikacja, w końcu weryfikował też to Instytut Pamięci Narodowej, sięgając do różnych archiwów. Na kamieniu znalazło się około dwustu nazw. Są takie, których pamięć nie jest za-

grożona, jak Wilno, Lwów, Stanisławów. Ale większość to te, które ocaleją pewnie dzięki takiej tablicy. Ona jest bardzo malborska, bo nawiązuje do mieszkańców naszego powiatu. Na końcu zostawiliśmy trzykropek, bo to na pewno nie jest wszystko - dodaje starosta.

Pomnik stanął przy kościele Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Nieprzypadkowo, bo pierwszym powojennym polskim księdzem i proboszczem tej parafii (wtedy jeszcze św. Jerzego) był Feliks Sawicki z Wołynia. Był to wtedy kościół ewangelicki, ale w najlepszym stanie po działaniach wojennych, w przeciwieństwie do katolickiego św. Jana.

- Feliks Sawicki, absolwent seminarium w Łucku, jako młody ksiądz był wikarym w Równem, w samym centrum Wołynia. W Malborku pojawił się w 1945 roku i w sposób dosyć naturalny stał się autorytetem, takim zwornikiem dla ludzi przybyłych tutaj. Pewnie też dlatego, że był świadkiem czasów sprzed 1945 roku, gwarantem takiej ciągłości historycznej dla nich, bo to był „ich” człowiek - mówi Piotr Szwedowski.

PAMIĘĆ, SPRAWIEDLIWOŚĆ I POJEDNANIE

W kontekście Wołynia nie da się uciec od obecnych nastrojów polsko-ukraińskich. Atmosfera zrobiła się ciężka po nadaniu nazwy UPA jednostce wojskowej na Ukrainie, odbieraniu i oddawaniu orderów państwowych po obu stronach granicy.

- Z jednej strony, nie muszę udowadniać, że zawsze starałem się o to, by pamiętać o Wołyniu i o zbrodniach nacjonalistów ukraińskich. Z drugiej strony, mam świadomość,

że celem ostatecznym nie jest budzenie naszych złych emocji. Celem naszym jest pojednanie. Robimy wszystko, by pamiętać, by być świadkami prawdy, bardzo bolesnej dla naszych sąsiadów. Ale ta prawda o Wołyniu, o tych zbrodniach nie jest celem sama w sobie, tylko musi być celem właśnie do jakiegoś pojednania, bo prawdziwe pojednanie dokonuje się zawsze na bazie prawdy. Doświadczenie Europy polega na tym, że po 1945 roku różne zwaśnione narody potrafiły się pojechać. Dlatego nie widzę żadnego konfliktu między tym, by mówić prawdę o Wołyniu i by jednocześnie wspierać Ukrainę w wojnie z imperializmem rosyjskim. Jedno nie wyklucza drugiego - uważa Piotr Szwedowski. - Musimy być dojrzałymi. Nie wolno nam zapomnieć o naszych przodkach i o tym, co się stało. Ja osobiście zrobię wszystko, żeby o tym nie zapomnieć, żeby o tym mówić. Natomiast też musimy być odpowiedzialni za przyszłość. Odesłałbym tu do przemówienia Jana Pawła II, który był w 2001 roku na Ukrainie, gdzie mówił o pojednaniu narodów i o przyszłości.

- Musisz napisać to, co ksiądz Isakowicz-Zaleski mi powiedział. To są jego słowa: że relacje z Ukrainą będą dobre wtedy, gdy nie będzie dołów śmierci. Czyli ekshumacje, groby, krzyże, żeby można było pojechać i świeczkę zapalić dziadkom, pradziadkom. Niech to będzie nawet studnia, ale żeby wiadomo było, że tam leżą. Ale co bardzo ważne, i trzeba to podkreślać, nie ma już miejsca na nienawiść, nie może być nienawiści. Chodzi po prostu o pamięć - mówi Jan Horoszkiewicz.

Koniec wędrówki po Koronę Ziemi. Dekada między kontynentami

- Rozpocząłem zdobywanie Korony Ziemi jako facet bez rodziny, a kończyłem go jako tata dwójki dzieci. Cała wędrówka po najwyższych szczytach kontynentów świata zajęła mi niemal dokładnie 10 lat. Trochę zaczynam odkrywać teraz swoje życie na nowo - mówi Michał Leksiński, wspinacz, który skompletował Koronę Ziemi. W czerwcu z sukcesem zaatakował najwyższy szczyt Ameryki Północnej - Denali, znany też pod nazwą Mt. McKinley - ostatni, którego brakowało mu do górskiej kolekcji.

TOMASZ CHUDZYŃSKI

Co zdecydowało o sukcesie na Denali tym razem? Twoje dwa pierwsze podejścia do tej góry były nieudane, w dodatku okupione urazami...

Myszę, że dwie kwestie były bardzo ważne. To przygotowanie fizyczne i mentalne, co jest oczywistością. Przede wszystkim jednak zdecydowała pogoda. To jest charakterystyczne oblicze Denali. To kluczowy czynnik, decydujący czy wejdziemy, czy nie. Pogoda rozdaje tam karty i jest bardzo nieprzewidywalna.

Najwyższy szczyt Alaski uznawany jest za najzimniejszą górę świata...

Kiedy wracałem z wyprawy w drugiej połowie czerwca, władze amerykańskie wydały około dziewięciuset pozwoleń na wyprawę. Z tego od początku sezonu blisko pięćset osób się przez tę górę przewinęło. Na szczyt weszła zaledwie setka. Co więcej, tegoroczny sezon na Denali jest tragiczny pod względem wypadków. Zginęło 5 osób, w tym rangerka pracująca w Parku Narodowym, na terenie którego położony jest szczyt. Po tych statystykach widać, że Denali ma pazury. Mnie akurat tym razem ich nie pokazała, ale nie znaczy, że było łatwo.

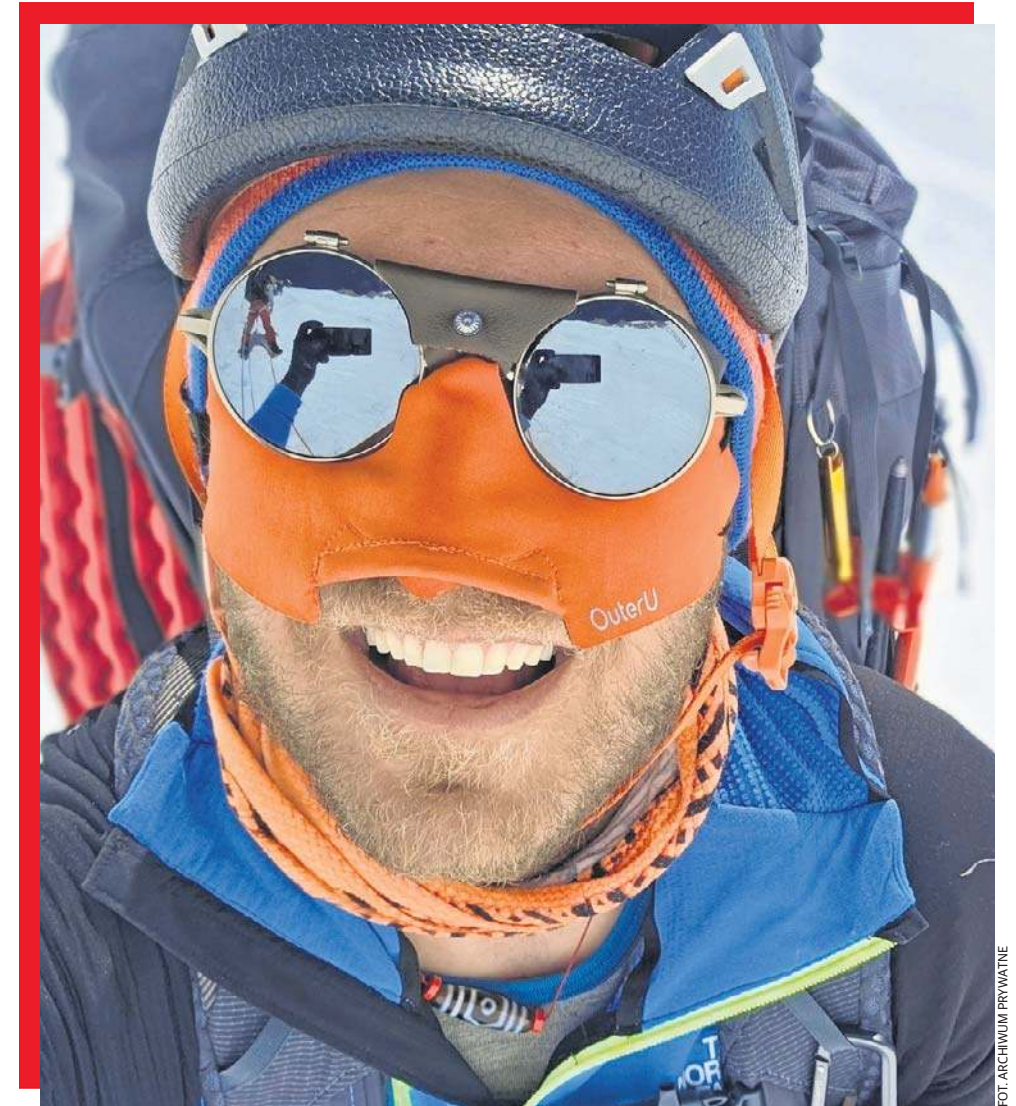
Tydzień spędziłeś w Talkeetnie (małe miasteczko w sercu Alaski, z którego wspinacze wylatują na lodowiec) czekając na warunki do wspinania. Trzeba tu zaznaczyć, że na lodowiec, którym wiedzie

droga na szczyt, można dostać się tylko awionetką.

Pogoda blokowała wyprawę. Wszyscy czekaliśmy, koczując niedaleko lotniska, bo nie było warunków do startu. Próbowaliśmy dwukrotnie wylecieć, ale skończyło się tak, że lataliśmy nad lodowcem i mogliśmy sobie Denali obejrzeć zza szyby. Musieliśmy to przeczekać, a najgorsza była w tym wszystkim frustracja i warunki pogodowe. W tym czasie, około tygodnia, ponad stu wspinaczy zrezygnowało w ogóle ze wspinaczki. Ja nie miałem zamiaru rezygnować - przeczekałem i ostatecznie nasza ekipa oraz ci którzy zdecydowali się zostać, dostaliśmy prezent w postaci wyżu znad Hawajów. On „wyczyścił” Kordyliery i w okolicach trzeciego czerwca nastąpiło spektakularne okno pogodowe. Na szczycie było zaledwie minus 20 st. C i bezwietrznie. Naprawdę świetna pogoda. Lubię myśleć, że był to prezent za dwie poprzednie, nieudane próby. Żeby nie było tak idealnie - w czasie tej wyprawy również były pewne problemy, chwile zawahania. Ostatecznie jednak udało się szczyt zdobyć.

W skali trudności, jak porównasz szczyty Korony Ziemi?

Zarówno Denali, jak i Everest są w moim osobistym rankingu pod względem trudności w topie Korony Ziemi. Główną trudnością Everestu jest na pewno czas ekspedycji. To około sześćdziesięciu dni fazy przygotowań, kiedy działa się z bazy w ścianie góry, plus sam wyniszczający atak szczytowy - cały manewr wyjścia z bazy, przez te wszystkie obozy do szczytu... To jest niebotyczny



Michał Leksiński: Tak szerokiego planu przygotowań jak przed Everestem nie powtórzyłem.

wysiłek. W przypadku Denali tego nie ma. Są za to inne czynniki, które oddziałują na człowieka i „wysadzają z siodła”. Wieczne zimno, brak jakiegokolwiek infrastruktury... Siedzi się w namiotach, bo tam nie ma żadnej bazy, niczego. No i te sanie piekielne, które wszyscy przeklinają...

Sanie, jedyny sposób, by jakoś sensownie dostarczyć ekwipunek, zapasy żywności... Trzeba przeciągnąć przez lodowiec jakieś czterdzieści kilo parę ładnych km w przejmującym zimnie.

Nie zapominać, że prócz tego jeszcze w plecaku niesie się od piętnastu do dwudziestu kilo. Generalnie trzeba to wszystko ciągnąć i nieść. W dodatku zmieniają się strategie agencji organizujących wyprawę, wspierające je logistycznie. Prawdopodobnie na skutek wypadków, które miały miejsce na górze. Od jakiegoś czasu nie dociera się do czterech tysięcy trzystu metrów z saniami, tylko do trzech tysięcy trzystu metrów, z obozu wcześniej. Dalej wszystko już na plecach.

Na Denali nie trzeba iść za to prawie doby w strefie śmierci w drodze do szczytu, czyli powyżej 7,900 tys. m, gdzie nie ma czym oddychać, organizm się nie regeneruje, a choroba wysokościowa jest realnym zagrożeniem dla wspinacza.

To prawda. Natomiast, na Evereście, podczas czterdziestu siedmiu dni wyprawy straciłem pięć, sześć kg masy ciała, a ostatnio na Denali podczas czternastu dni schu-

dłem nieco więcej. Choćby te liczby pokazują skumulowaną skalę wyczerpania organizmu, jego walki z zimnem, z fizycznym wysiłkiem. Także z wysokością. Natomiast w bazie pod Everestem aprowizacja jest ciągła, żywności nie brakuje, jest całkiem pokazna infrastruktura, regularnie latają helikoptery. Możesz zjeść tyle ryżu, ile potrzebujesz i jeszcze coś na dokładkę zawsze się znajdzie. Na Denali żywność jest racjonowana, bo mamy jej tyle, ile przewieziemy na saniach. Są porcje na każdy dzień. Nie ma tutaj komfortu. Mimo wszystko zdobycie Denali kosztowało mnie trzy próby, a Everest jedną. W mojej osobistej skali trudności szczytów Korony Ziemi stawiam Denali wyżej od Everestu. Natomiast koniec końców w górach potrzebne jest szczęście... Tym razem mi sprzyjało. Pogoda, umiejętności, brak błędów - szczyt się przed nami otworzył.

Co z doświadczeniem?

To chyba istota każdej działalności górskiej, sportów ekstremalnych czy wypraw. W 2017 roku chciałem wybrać się na Denali, mając już w głowie projekt Korony Ziemi. Wówczas mój serdeczny przyjaciel powiedział mi: „Pojedź najpierw na Pik Lenina w Kirgistanie (7-tysięczny szczyt w paśmie Pamir). Zobacz, jak wygląda wyprawa w surowych warunkach, surowa baza i zimno”. Skorzystałem z tej rady, żeby zebrać doświadczenie. Potem wyruszyłem na Aconcagua, którą zdobyłem, a następnie, po raz pierwszy na Denali, w 2018 roku. W kwestii owej rady mojego kolegi zgadzam się z nią całkowicie. W tej ostatniej wyprawie na najwyższy szczyt

na Alasce, byli uczestnicy, z całego świata; z Japonii, z Malty i z Austrii, którzy podchodzili do Denali po raz pierwszy. I oni byli w tym samym miejscu, jak ja, 8 lat temu. Dziś moje doświadczenie, z bagażem dwóch wypraw na Denali, w tym jednej samodzielnej, było niewspółmiernie większe, dające komfort - mentalny i fizyczny. Choćby to, że wiesz, co cię na górze czeka, jak wyglądają kolejne odcinki góry, wie, jak się w bazie przygotować. No i jak odpoczywać w poszczególnych fazach wyprawy. A to, wbrew pozorom, jakkolwiek to brzmi, jest dość istotna wiedza.

Od zawsze stawiałeś na aspekt przygotowania fizycznego i mentalnego do poszczególnych wypraw. Ostro trenowałeś, przechodziłeś kompleksowe badania wydolności, suplementację choćby w zeszłym roku, przed Everestem. Dzięki temu mogłeś być szybki na dachu świata.

Tak szerokiego planu przygotowań jak przed Everestem nie powtórzyłem. One oczywiście były, wykorzystałem do opracowania planu treningowego swoją wiedzę i doświadczenie. Wykorzystałem, trochę na wyrost może, namiot hipoksyjny, który na nizinach pozwala na szybszą aklimatyzację, a co za tym idzie, lepszy odpoczynek i regenerację tam na górze. Miałem wrażenie, że dzięki namiotowi wysokość lepiej znosiłem, choć taktyka zdobywania Denali zakłada metodę wahadłową, trzeba zakładać obozy, zostawiać depozyty i cały proces przystosowania do organizmu do wysokości jest długotrwały.

Projekt Korony Ziemi się skończył, zabrał dekadę z życia... Jest pomysł pewnie, żeby odpocząć, z rodziną posiedzieć w domu...

Chyba jeszcze nie do końca obejmuję rozumem fakt, że to już koniec projektu.

Na Koronie Ziemi skupiony byłem dziewięć lat, dziewięć miesięcy i dziesięć dni - od momentu, w którym wszedłem na Mount Blanc, do tego, kiedy stanąłem na Denali. Ciężko jest się odnaleźć w rzeczywistości, bo w tym czasie niemal wszystko, nawet jeśli nie bezpośrednio to i tak zahaczało o zdobywanie gór. Pod ten cel ustawione były wszelkie harmonogramy, tygodnie czy miesiące. Dziś tego nie ma i jest wręcz fascynujące poznawanie życia bez takiej rutyny. Ta sytuacja pokazuje też cienie, obok blasków, projektu, jakim jest zdobywanie Korony Ziemi. To były lata trudów, wyrzeczeń, ciężkich rozmów. Nie ukrywajmy - rozpocząłem projekt jako facet bez rodziny, a kończyłem go jako tata dwójki dzieci. Bez dwóch zdań chciałbym spędzić nieco więcej czasu z bliskimi. Chciałbym góry pokazać bliskim, pochodzić z nimi - oczywiście po tych niższych pasmach.

Co dalej? Pomysł na nowe wyprawy może pojawić się nagle.

Nie jest to wykluczone... Są pewne pokusy. Dla niektórych naturalnie pojawiają się kolejne „Korony”: wulkaniczna Korona Ziemi, Koronka Ziemi... Osobiście mam kilka wymarzonych szczytów, na które chciałbym się wybrać, a które musiały czekać ze względu na projekt Korony Ziemi. Natomiast nie chcę wpadać w kolejne, duże przedsięwzięcie wyprawowe, wędrować kolejne lata między kontynentami. Myślę, że to będzie bardziej coś sportowo-wytrzymałościowego, może formuła eksploracyjno-biegowa? Mam teraz poczucie, że mogę wszystko, ale niczego nie muszę. Daję sobie trochę czasu z wolną głową. Natomiast od początku planowałem, żeby coś po tej mojej Koronie Ziemi też zostało.

Książka? Dokument?

Książka, ale nieco inaczej. Na pewno nie będę opisywał swoich zmagania z Koroną Ziemi. Nie mam takich zdolności kronikarskich, reporterskich. Zresztą takich książek jest całkiem sporo, i to bardzo dobrych. Sam z nich korzystałem przed poszczególnymi wyprawami, bo zawierają mnóstwo cennych wskazówek czy porad. Natomiast dotarło do mnie przez te wszystkie lata, że najlepiej rozmawia mi się z dziećmi. To jest niezwykła publiczność. Dlatego napisałem książkę o Koronie Ziemi, dla dzieciaków. Skrypt został przyjęty przez wydawnictwo, tekst się spodobał. Zależało mi na oprawie graficznej. Wydawnictwo, z którym będę współpracował, przygotowuje przepięknie ilustrowane wydania. Tak będzie i z tą książką.

Parę lat temu debiutowałeś jako autor książką pt. „Projekt: Wyprawa” o finansowo - marketingowych aspektach przygotowania ekspedycji.

Tak naprawdę dowód na kompetencje do napisania tej książki dałem post factum. Pisałem w niej o fundraisingu, czyli o pozyskiwaniu środków na projekty różnego rodzaju. Natomiast dopiero po wydaniu tej książki zdobyłem największe środki na wyprawę - czyli na ekspedycję na Antarktydę i Himalaje. To warto bowiem podkreślić - Korona Ziemi to jest niebotyczne wyzwanie finansowe. Taki projekt może kosztować nawet do miliona złotych. Pozyskiwanie środków było, obok kwestii fizycznych, mentalnych, organizacyjnych, ogromnym wyzwaniem.

Jeśli mówimy o trwałych efektach twoich ekspedycji, to na pewno jest nią pomoc dla Fundacji Happy Kids i jej podopiecznych.

W planach wakacyjnych mam spotkanie z podopiecznymi Fundacji, gdzie opowiem o ostatniej wyprawie i pewnie spróbuję podsumować cały projekt Korony Ziemi. Mam nadzieję, że Fundacja nadal będzie chciała, żebym był ich ambasadorem. Ja na pewno nie chcę rezygnować z tej funkcji, mimo tego, że projekt się kończy. W 2016 roku, kiedy startowaliśmy z Koroną Ziemi i współpracą, nie miałem żadnych kompetencji, umiejętności w działalności charytatywnej. To było dość intuicyjne. Na przestrzeni tych dziesięciu lat mnóstwo dobrych rzeczy się wydarzyło. Do fundacji zaczął przeze mnie trafiać sponsoring - zaczęliśmy organizować obozy wspinaczkowe, koncerty itp. Okazało się, że pasją naprawdę da się pomagać i można to robić, nawet jak się tego nie umie. Ta współpraca jest dla mnie ogromnym powodem do dumy. Będę nadal pomagał podopiecznym Fundacji, jak tylko potrafię.

SZLAKIEM KORONY ZIEMI - KROK PO KROKU MICHAŁA LEKSIŃSKIEGO

- Mount Blanc - 4,810 m. (Europa) - sierpień 2016;
- Kilimanjaro - 5.895 m. (Afryka) - styczeń 2017;
- Elbrus - 5,642 m. (Europa) - czerwiec 2017;
- Aconcagua - 6,960 m. (Ameryka Płd.) - luty 2018;
- Piramida Carstenza - 4,884 m. (Oceanica) - sierpień 2018;
- Góra Kościuszki - 2,210 m (Australia) - sierpień 2018;
- Masyw Vinsona - 4,892 m (Antarktyda) - styczeń 2023;
- Mt Everest - 8,848 m (Azja) - maj 2025;
- Denali - 6,190 m (Ameryka Płn.) - czerwiec 2026 (nieudane próby czerwiec 2018 i czerwiec 2023).



Michał Leksiński: Na szczycie było zaledwie minus 20 st. C i bezwietrznie. Naprawdę świetna pogoda

WSPOMNIENIE

Tadeusz Baranowski (1945-2026). Odszedł mistrz absurdalnego humoru

Profesorek Nerwosolek i jego gospodyni Entomologia, szukający przygód Kudłaczek i Bąbelek, Smok Diplodok, Orient Men, Praktyczny Pan... To tylko niektórzy bohaterowie kultowych komiksów Tadeusza Baranowskiego, które od pięciu dekad bawiły zarówno dzieci, jak i ich rodziców. Artysta zmarł 7 lipca w wieku 81 lat.

WOJCIECH OBREMSKI

Absurdalny humor, charakterystyczna, groteskowa kreska, genialne dialogi wypełnione grą słów oraz niespotykany wcześniej w rodzimych komiksach układ kadrów - to główne cechy opowieści z dymkami Tadeusza Baranowskiego. No i te rysunki! Proste, dynamiczne i dowcipne, przez co trafiające idealnie w gust małych czytelników oraz opowiadające daną historię bez konieczności zrozumienia aluzji i trudnych słów, jakie były przeznaczone dla dojrzałego odbiorcy.

- Trzeba mieć dystans do siebie i do tego, co się robi. Poza tym zawsze robiłem to, co chciałem, nie pozwalałem na „wcinanie” się w moje scenariusze osobom trzecim, dzięki czemu pisałem na własną odpowiedzialność - mówił kilka lat temu Baranowski, odpowiadając na pytanie, skąd w jego dziełach bierze się takie natężenie genialnego, absurdalnego humoru. Bo trzeba przyznać, że wylewa się on z kadrów z całą mocą. A jeśli rysunki te połączymy z treścią, również nieszablonową, wypełnioną starannie rozpisany dialogami, otrzymamy feerię wrażeń, które w szarych latach PRL-u stanowiły dla wszystkich - niezależnie od wieku, statusu czy wykształcenia - prawdziwą, artystyczną gratkę.

SKĄD TA WODA SODOWA?

Tadeusz Baranowski urodził się 6 stycznia 1945 roku w Zamściu. Ukończył malarstwo

na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, a swoją karierę rozpoczął jako grafik w „Przeglądzie”. Wkrótce podjął pracę w „Świecie Młodych”, gdzie, w 1975 roku, ukazał się jego pierwszy komiks „Ten piekielny Barnaba”, narysowany do scenariusza Jerzego Dąbrowskiego. Baranowski odpowiadał też za oprawę graficzną czasopisma, zaś kolejne historyjki Baranowski tworzył już sam. Pierwsze z nich traktowały o perypetiach Kudłaczka i Bąbelka (właściwie Buffalo-Kudłaczka i Billa-Bąbelka), dwóch przyjaciół oraz poszukiwaczy przygód. I tak historyjka „Skąd się bierze woda sodowa” zabiera czytelnika na Dziką Zachód, gdzie bohaterowie spotykają wiele charakterystycznych postaci, takich jak Don Kichot, potwór z Loch Ness, yeti... czy sam autor. Później Baranowski będzie często wplatał do swoich opowieści siebie samego, najczęściej w formie interakcji ze swoimi bohaterami. Wracając do opowieści „Skąd się bierze woda sodowa” - to właśnie tutaj pojawia się wiecznie nadąsany indiański wódz Wielki Niepokój i słynny dowcip o gąsce Balbince, notabene, nigdy niewypowiedziany na kartach komiksu. A dialog: „Ależ wódzu, co wódz? / To ja przepraszam” przeszedł do historii.

ŻADEN PROFESOR X, TYLKO NERWOSOLEK!

Wkrótce na łamach „Świata Młodych” ukazują się kolejne opowieści o Kudłaczku i Bąbelku, pojawiają się także nowi bohaterowie - profesorek Nerwosolek i jego wierna gospo-

dyni Entomologia („Antresolka profesorka Nerwosolka”), którzy również nie stronią od przygód. Przemierzają oceany, trafiają do dziwnego świata czy eksplorują kosmos - to właśnie wśród gwiazd poznają mrocznego lorda Hokusa-Pokusa, który, przechodząc metamorfozę, staje się towarzyszem Nerwosolki i Entomologii. Ma to miejsce zwłaszcza w opowieści „Podróż smokiem Diplodokiem”, będącej jednym z bardziej rozpoznawalnych dzieł Baranowskiego. Co ciekawe, początkowo autor zaoferował historyjkę o zwiariowanym naukowcu i jego towarzysze magazynowi „Alfa”, łączącemu tematykę komiksową, science-fiction i popularno-naukową. - Po przyniesieniu planów do druku usłyszałem, że z tego profesorka to znowu żaden taki Nerwosolek, co to za Antresolka i najlepszym tytułem będzie: „Profesor X działa”. Więc zrezygnowałem z dalszej współpracy i zacząłem rysować te postacie dla „Świata Młodych”, gdzie miałem pełną swobodę działania - wspominał Tadeusz Baranowski w rozmowie z Bartoszem Kurcem w „Trzask prask. Wywiady z Mistrzami polskiego komiksu i nie tylko”. Trzeba dodać, że Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej wyprodukowało dwie animacje: „Przygody profesora Nerwosolki” (1984 tok) oraz „Kosmiczne przygody profesora Nerwosolki” (1986 r.). W przypadku obu autorem scenariusza i reżyserem był Włodzimierz Palusiński, a Tadeusz Baranowski odpowiadał za dialogi i opracowanie plastyczne.

NA ZACHÓD I Z POWROTEM

Kiedy w 1976 roku pojawił się kultowy magazyn komiksowy „Relax”, wraz z nim na scenę wleciał Orient Men, pierwszy polski superbohater, będący jednocześnie swoistą parodią herosów w trykotach zza oceanu. „Menów dzielimy podobnie jak kawę na: Super menów, Wyborowych menów i Orient

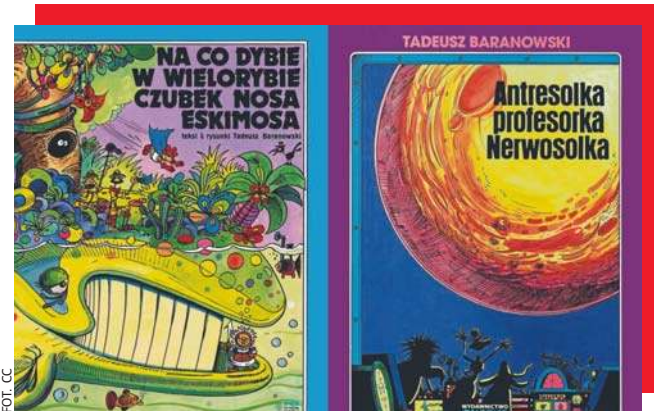
menów” - tak, typowo dla swojego humoru, przedstawiał autor swojego nowego bohatera, którego przygody trafiły wkrótce również do „Świata Młodych”. Pod koniec lat 70. Baranowski próbował swoich sił w komiksie dla dorosłych - dla tygodnika „Razem” stworzył cykl „Praktyczny Pan” (pierwotnie „Razem z Praktycznym Panem”). Była to seria humorystycznych, jednoplanszowych historyjek, wypełnionych dwuznacznymi poradami i satyrą na relacje damsko-męskie. A wszystko to podane w charakterystycznym dla Baranowskiego, absurdalnym stylu.

W roku 1984 Baranowski wyjechał do Belgii. To dzięki zaproszeniu od Grzegorza Rośniewskiego, który miał już ugruntowaną pozycję na tamtejszym rynku komiksowym. Artysta nawiązał współpracę z wydawnictwem Editions du Lombard, czego owocem były publikacje jego komiksów przez cztery lata w magazynie „Tintin”. Jego dzieła spodobały się czytelnikom z Zachodu, jednak nie wszyscy rozumieli absurdalny humor Baranowskiego. Próbowano nakłonić autora do zmiany stylu treści i rysunków.

- Wydawcy, w każdym razie ci, których ja poznałem, oczekiwali, że będę realizował ich autorskie pomysły, że będę rysował w zaproponowanym przez nich stylu, a nie lansował własną ideę w swojej konwencji. (...) Zdecydowanie niechętnie patrzono na próby rysowania po mojemu - wspominał artysta w 1989 roku na łamach magazynu „Komiks-Fantastyka”.

Powrót Baranowskiego do Polski zbiegł się z fatalną sytuacją dla rodzimego komiksu, jaki nastał po transformacji ustrojowej. Artysta zajął się więc projektowaniem reklam i okładek książek, ilustrował też dziecięce czasopisma (m.in. „Juppi!” czy pisemka z cyklu „Ja, Ty, My”). Nie oznacza to wcale, że zapomniał o komiksach - wraz z żoną Anną wykreował baśniowy świat fruwaczek. - Chodziło mi o prosty, łatwy zrozumiały komiks dla małych dzieci. Bajeczkę komiksową bez tak zwanych podtekstów, do obejrzenia obrazków i ze zrozumiałą fabułą - tłumaczył artysta.

Od początku lat 90. magazyn komiksowy „Super Boom!” publikował historyjki Baranowskiego z cyklu „O zmroku”. Artysta stworzył je kilka lat wcześniej na scenariusza Jeana Dufaux na potrzeby magazynu „Tintin”. Dodajmy, że owocem współpracy z Du-



Komiksy Tadeusza Baranowskiego nadal są zaproszeniem do niezwykłego świata

faux była także opowieść w stylu fantasy zatytułowana „Historia wyssana z sopła lodu”.

NIE TYLKO KOMIKSY

W 2008 roku Tadeusz Baranowski na dobre powrócił do malarstwa, które przerwał w latach 70. Stworzył własną technikę wykorzystującą różnorodne materiały (pleksi, tkaniny, polistyren, akryle, oleje itp.), zaś jego dzieła można podziwiać m.in. w warszawskiej Zachęcie, Teatrze Studio oraz w licznych zbiorach prywatnych.

Trzeba zaznaczyć, że w 2007 roku Baranowski został odznaczony przez ministra kultury i dziedzictwa narodo-

wego srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

W 2024 roku na ekrany kin wszedł film „Smok Diplodok”, łączący animację komputerową i grę aktorską, wyreżyrowany przez Wojciecha Wawrzyszka. Napisał on także scenariusz inspirowany komiksami Tadeusza Baranowskiego, dodatkowo umieszczając artystę w fabule.

Co ciekawe, mimo upływu lat zanurzenie się w kipiących wyobraźnią i fantastycznymi szczegółami komiksach Tadeusza Baranowskiego nadal stanowi dla czytelnika niezwykłą podróż do świata, jaki mógł wykreować tylko umysł naznaczony głęboką, wręcz nieopowtarzalną kreatywnością.

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zleć przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

1 - 001 absolutnie autoskup wszystkie, 533-232-606

AUTA uszkodzone - Złomowanie, 604-542-022

ROLNICZE KUPIĘ

1 - 001 skup ciągników i maszyn rolniczych, 533-232-606

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

0 - 2h. Pożyczka lombardowa, 42-658-86-44

Zdrowie

INTERNA

WIZYTY domowe - dr Matusiak, 601-266-571

WIZYTY domowe, 695-412-061

NEUROLOGIA

Neurolog - specjalista, 602-691-580

Usługi

AGD RTV FOTO

AGD - pralki szybko, tanio, 504-556-016

RTV, LCD - dojazd gratis, 889-153-215

TELE - audiovideo naprawa, 602-687-803

BUDOWLANO-REMONTOWE

DACH tanio solidnie VAT, 787-337-426

DACHY krycie, naprawy, 602-281-064

INSTALACYJNE

ELEKTRYK, 693-741-682

Hydraulik A-Z, 721-933-455

Hydraulika, naprawy, 509-721-995

Przepychanie kanalizacji, 509-721-995

PORZĄDKOWE

Mycie okien, 518-926-402

PRANIE dywanów i tapicerki. Solidnie. Dojazd, 600-794-989



W wieku 9 lat zadebiutowała grając królową-żabkę w spektaklu „Za siedmioma górami” wystawianym w Teatrze Lutnia w Łodzi.

W 1957 poślubiła Aleksandra Lipowskiego, operatora filmowego, z którym rozwiodła się po trzech latach małżeństwa. W grudniu 1963 wyszła za aktora Tomasza Zaliwskiego. Byli małżeństwem aż do śmierci Zaliwskiego w 2006. Ma z nim syna Marcina. Mieszka na warszawskich Kabatach.



Teresa Lipowska, serialowa Barbara Mostowiak, obchodzi 89. urodziny

JOANNA BONNE

● Teresa Lipowska dziś obchodzi 89. urodziny. Większość swojego życia poświęciła aktorstwu. Podczas swojej długiej zawodowej drogi Lipowska niejednokrotnie przecinała zawodowe ścieżki z aktorami młodego pokolenia. Czy wśród nich jest ktoś taki, kto szczególnie zapadł jej w pamięć? Wypowiedź serialowej Barbary Mostowiak nie jest zbyt optymistyczna.

– Różnie. Nie będę tutaj wymieniała nazwisk. Są świetni w jednej roli, w drugiej nie bardzo. Geniuszy nie widzę... – mówi.

Jubilatka zwróciła się do młodych aktorów z pewną radą. Pod-

kreśliła, że trzeba ciężko pracować, by osiągnąć sukces. Sam talent bowiem nie wystarczy.

– Kochać zawód i pracować, bo to nie tylko talent, tylko praca musi być. Piękna wymowa, musi być ustawiony głos, więc trzeba po prostu pracować – podkreśla aktorka.

Teresa Lipowska to dla części widzów przede wszystkim odtwórczyni roli Barbary Mostowiak, do brotliwej nestorki rodu w popularnym serialu „M jak miłość”. Pojawia się w nim od samego początku emisji telenoweli, czyli od 2000 roku.

Starsi pamiętają jednak, że w ciągu wielu lat – a występy zaczęła jako młoda dziewczyna, już w latach 50. XX wieku – miała znacznie

więcej godnych zapamiętania ról, między innymi w „Nocach i dniach”, „Lalce” i „Stawiam na Tolka Banana”.

Aktorka pierwsze lata życia spędziła w Warszawie, po wojnie zamieszkała z rodziną w Łodzi. Wychowywała się z dwójką młodszego rodzeństwa, siostrą Elżbietą – potem doktorem habilitowanym nauk medycznych, ginekologiem onkologiem (1941–1990) i bratem Andrzejem, łódzkim inżynierem, właścicielem zakładu optycznego.

W 1955 r. ukończyła średnią szkołę muzyczną w klasie fortepianu w Łodzi, dwa lata później ukończyła studia na Wydziale Aktorskim PWSFTviT w Łodzi.

PIŁKA NOŻNA

Skład drużyny ŁKS powoli się krystalizuje, ale każdy jeszcze walczy o miejsce

ŁKS Łódź zremisował z Unią Skierniewice 2:2, choć jeszcze kilka minut przed końcem przegrywał dwoma bramkami.

JAKUB MLONKA

Po spotkaniu asystent trenera Michael Chojnicki oraz pomocnik Mateusz Wysokiński podkreślali, że w okresie przygotowawczym wynik schodzi na dalszy plan, a najważniejsze pozostają przygotowania do inauguracji Betlic 1. Ligi i rywalizacja o miejsce w wyjściowym składzie.

Michael Chojnicki, asystent trenera ŁKS Łódź:

– Dzisiaj zagraliśmy sparing w formacie dwóch połów po 60 minut. Zawodnicy dostali już więcej minut w tym spotkaniu. Spotkanie, które miało wiele faz, wiele momentów, gdzie to przeciwnik w pierwszej połowie miał piłkę. My się broniliśmy, wypychaliśmy tę piłkę. Jak odbieraliśmy brakowało trochę lepszych decyzji po odbiorze tej piłki. Później więcej piłki u nas. Druga połowa, sporo zmian u przeciwnika również u nas. I finalnie to spotkanie zakończyło się remisem 2-2. Myślę, że wynik w chwili obecnej sprawiedliwy. Zależało nam bardzo, żeby rozegrać ten sparing właśnie w tym formacie, o którym mówiłem. Czyli dwóch po-

wach po 60 minut, żeby każdy zawodnik dostał określoną liczbę minut. Oczywiście skład się krystalizuje, ale jeszcze każdy dostał te minuty. W chwili obecnej zawodnicy rywalizują o grę w pierwszym meczu ligowym. My oczywiście swoje decyzje będziemy podejmować niebawem, wkrótce, bo przed nami jeszcze jeden sparing z Wisłą Płock.

Mateusz Wysokiński, pomocnik ŁKS Łódź:

– Nie był to prosty rywal. Trzeba oddać Unii, że naprawdę dobrze grają w piłkę. Duża wymiennosc, ruchliwość, dużo rotacji. Naprawdę przyjemnie na ich się grę oglądało z boku i gdzieś trzeba oddać im, że naprawdę mądrze jest ta budowana drużyna. Na pewno solidny sparing partner, który pozwoli nam dobrze przygotować się do ligi, bo na pewno też takie zespoły widzę będą, które więcej będą chciały grać w piłkę, wchodzić przez środek. Może mniej grać za plecy i dłuższą piłką, tylko typowo piłkarsko.

Wiadomo, że to jest sparing, trzeba czasami z głową w takich meczach podchodzić, aczkolwiek wiadomo, każdy gra o miejsce w składzie, każdy chce je sobie wywalczyć i tak samo jest pewnie po drugiej stronie boiska w drużynie przeciwnej. Każdy walczy o miejsce i o siebie.

Pierwszy mecz ligowy ŁKS zagra w sobotę 25 lipca o godzinie 15.30 z Pogonią w Siedlcach.



FOT. WOJCIECH PAKULSKI/ŁKS ŁÓDŹ

Piłkarze ŁKS i Unii budują formę przed nadchodzącymi rozgrywkami pierwszej ligi

Dziś półfinał: Francja – Hiszpania. Mundial przyniesie dochód w wysokości 8,9 miliarda dolarów

Dziś pierwszy półfinał mundialu: 14 lipca, wtorek: Francja - Hiszpania (godz. 21). 15 lipca, środa: Anglia - Argentyna (21).

Poprzednie spotkanie Argentyny ze Szwajcarią w Kansas City, podobnie jak wcześniejszy ćwierćfinał tego dnia Anglia - Norwegia, poprzedziła minuta ciszy poświęcona zmarłemu niespodziewanie w wieku 25 lat piłkarzowi reprezentacji Republiki Południowej Afryki Jaydenowi Adamsowi, który zagrał w tym turnieju w trzech meczach. Na razie nie podano przyczyny śmierci...

Kibice piłki nożnej mogą kupić niezwykle pamiątkę

z mistrzostw świata. Międzynarodowa Federacja Piłki Nożnej (FIFA) oferuje na swojej stronie internetowej murawę ze stadionu MetLife w New Jersey, gdzie mistrzostwa zakończą się 19 lipca.

Będzie ona sprzedawana w czterech kategoriach: najtańsza będzie kosztować 450 dolarów, a najdroższa - 3000 dolarów. FIFA spodziewa się zarobić ponad 11 milionów dolarów ze sprzedaży.

Fragmenty murawy zostaną rozdysponowane po finałach i będą dostępne wyłącznie w USA i Europie. W każdej z czterech kategorii sprzedanych zostanie maksy-

malnie 2026 sztuk. Liczba ta odnosi się do daty tegorocznego turnieju, w którym po raz pierwszy wzięło udział 48 drużyn. Najdroższy element murawy będzie zawierał replikę biletu ze złotym grawerunkiem, replikę miniatury piłki mistrzostw świata i trofeum dla mistrzów wykonanego ze szlifowanego kryształu.

Według Bloomberg'a tegoroczny turniej przyniesie dochód w wysokości 8,9 miliarda dolarów. Jest to wzrost o ponad 41 procent w porównaniu z ostatnimi mistrzostwami w Katarze w 2022 roku, na których FIFA zarobiła 6,3 miliarda dolarów. Obecne



Zdjęcie górne: minuta ciszy podczas meczu Argentyny, na dole: fanka futbolu z repliką pucharu w Nowym Jorku

mistrzostwa ustanowiły nowy rekord liczby widzów, ale nie przekroczyły średniej frekwencji z poprzednich mistrzostw w Stanach Zjednoczonych. W 1994 roku średnia liczba kibiców na mecz wynosiła 68 991.

Osiem reprezentacji może pochwalić się tytułem piłkarskiego mistrza świata. Wśród nich są wszyscy półfinałiści tegorocznego mundialu za oceanem: Argentyna, Anglia, Hiszpania i Francja.

Na czwarty triumf szansę ma Argentyna, która zwyciężyła w 1978, 1986 i 2022 roku. Francja po sukcesach w 1998 i 2018 roku może wygrać po raz trzeci. Anglia i Hiszpania powalczą o drugi tytuł.

Argentyna jako trzeci zespół w historii może drugi raz z rzędu wygrać mistrzostwa świata. Wcześniej dokonały tego Włochy (1934-38) i Brazylia (1958-62).

DARIUSZ KUCZMERA

Siedem medali i drugie miejsce w ogólnopolskiej klasyfikacji dla AZS

Wspaniale zaprezentowali się lekkoatleci AZS Łódź w mistrzostwach Polski do lat 23, które odbyły się w Krakowie.

Podopieczni prezesa AZS Lecha Leszczyńskiego zdobyli aż siedem medali i w klasyfikacji ogólnopolskiej zajęli drugie miejsce ustępując jedynie AZS UMCS Lublin. Łodzianie zdobyli 3 złote medale, 2 srebrne i 2 brązowe.

Trzy złote krążki wywalczył Maksymilian Szwed w biegu na 200 m, na 400 m i w sztafecie 4x400 m. W rozstawnych biegu startowali też Hubert Jabłoński, Jakub Wiliński, Wiktor Wróbel.

Ten ostatni zdolny lekkoatleta AZS Łódź zdobył dwa srebrne krążki – na 200 i 400 m, a więc to bezapelacyjne należące dystanse do AZS Łódź. Zdobyliśmy i mistrzostwo i wicemistrzostwo Polski. Tre-

ner Krzysztof Węglarski pęka z dumy.

Brązowe medale zdobyli: Maja Borchardt w trójskoku i Hubert Jabłoński w biegu na 400 m przez płotki.

Maksymilian Szwed jest halowym rekordzistą Polski i wicemistrzem Europy z Apeldoorn. Równie dobrze radzi sobie także latem na stadionie. 27 czerwca w Opolu 21-latek poprawił młodzieżowy rekord Polski na 44,94. To czwarty wynik w historii polskiej lekkoatletyki. Rekord kraju od 1999 roku należy do Tomasza Czubaka - 44,62.

W Krakowie Szwed przebiegł 400 m w 45,74, ale rywale nie zmusili go do większego wysiłku. Srebrny medal zdobył Wiktor Wróbel - 46,17, a brąz wywalczył Jan Śmietanka - 46,68.

DARIUSZ KUCZMERA



Maksymilian Szwed był w wybornej formie w Krakowie

FOT. SZYMON GRUCHAŁSKI

EXPRESS

Siatkarki nie powtórzą sukcesu z Łodzi

Polskie siatkarki przegrały w Osace z Japonią 2:3 (25:20, 25:14, 19:25, 21:25, 13:15) w ostatnim meczu fazy zasadniczej Ligi Narodów i nie awansowały do turnieju finałowego. W gronie ośmiu najlepszych zespołów wystąpią Azjatki. Grały Łodzianki: Katarzyna Wenerska, Justyna Łysiak, Paulina Damaske, Alicja Grabka, Anna Obiała. Oba zespoły spotkały się niemal równo rok temu w meczu o brązowy medal Ligi Narodów. Biało-czerwone w Łodzi wygrały 3:1 i po raz trzeci z rzędu stanęły na podium. **DK**

W finale Wimbledonu lepszy Jannik Sinner

Lider rankingu tenisistów Włoch Jannik Sinner obronił tytuł w wielkoszlemowym Wimbledonie.

W niedzielnym finale pokonał rozstawionego z numerem drugim Niemca Alexandra Zvereva 6:7 (7-9), 7:6 (7-2), 6:3, 6:4. To jego piąte trofeum Wielkiego Szlema w karierze. Mecz trwał trzy godziny i 46 minut. **DK**

Iga Świątek spadła na ósme miejsce

Iga Świątek spadła z trzeciego na ósme miejsce w najnowszym notowaniu światowego rankingu tenisistek. Na czele niezmiennie od 21 października 2024 pozostaje Białorusinka Aryna Sabalenka, ale jej przewaga nad drugą Kazażką Jeleną Rybakina jest już mała. Spadek Świątek jest efektem jej odpadnięcia już w 3. rundzie Wimbledonu. Rok temu w Londynie triumfowała. Pozostałe z Polek nie zanotowały znaczących zmian - Maja Chwalińska spadła z 21. na 22. pozycję, Magdalena Fręch nadal jest 44., a Magda Linette awansowała z 59. na 51. miejsce. **DK**

PIŁKA NOŻNA

Nowy psycholog pomoże drużynie. W niedzielę prezentacja i mecz

DARIUSZ KUCZMERA

Dyrektor sportowy Widzewa Artur Płatek zdradził, że trwają jeszcze poszukiwania są zawodników nawet na trzy pozycje.

Do czterokrotnego mistrza kraju dołączyli na razie Karol Świdorski oraz Mario García. Artur Płatek w programie TVP 3 Łódź mówił: - Proces skautingowy przebiega bez przerw i w najbliższych dniach możemy spodziewać się jakichś delikatnych ruchów. Są także plany na dwie-trzy inne pozycje, ale to nie jest tak, że brakuje nam piłkarzy.

NOWY PSYCHOLOG W DRUŻYNIE

Na zgrupowaniu w Austrii do sztabu szkoleniowego Widzewa Łódź dołączył doświadczony psycholog sportowy Paweł Habrat. Jak informuje widzew.com, będzie on odpo-

wiadał za wsparcie zarówno piłkarzy, jak i sztabu szkoleniowego w obszarze przygotowania mentalnego. Będzie też dbał o dostarczenie narzędzi, które wspierają rozwój indywidualny zawodników, efektywne funkcjonowanie zespołu oraz codzienną pracę sztabu.

Piłkarze na spotkaniach grupowych oraz sesjach indywidualnych będą rozwijać kontrolowanie emocji, dbać o koncentrację czy pracować nad budowaniem pewności siebie. Paweł Habrat będzie spotykał się ze sztabem i wspierał proces zarządzania zespołem oraz tworzenia środowiska, które sprzyja osiągnięciu wysokiej wydajności.

Nowy psycholog sportowy Widzewa może pochwalić się bogatym doświadczeniem zdobytym w klubach PKO Bank Polski Ekstraklasy: Zagłębiu Lubin, Lechii Gdańsk, Polonii Warszawa czy Jagiellonii Białystok. Współpracował z krajowymi

związkami piłki nożnej oraz piłki ręcznej, a ponadto przygotowywał tenisistów do największych turniejów.

PREZENTACJA DRUŻYNY I SPARING W NIEDZIELĘ

19 lipca o 17 odbędzie się na Widzewie sparing z Puszczą Niepołomice. Przed grą odbędzie się prezentacja drużyny i nowych koszulek zespołu. Bilety na wydarzenie kosztują od 19,10 zł.

Widzew Łódź w pierwszym meczu nowego sezonu zmierzy się z Motorem Lublin. Mecz odbędzie się w niedzielę o godz. 17.30.

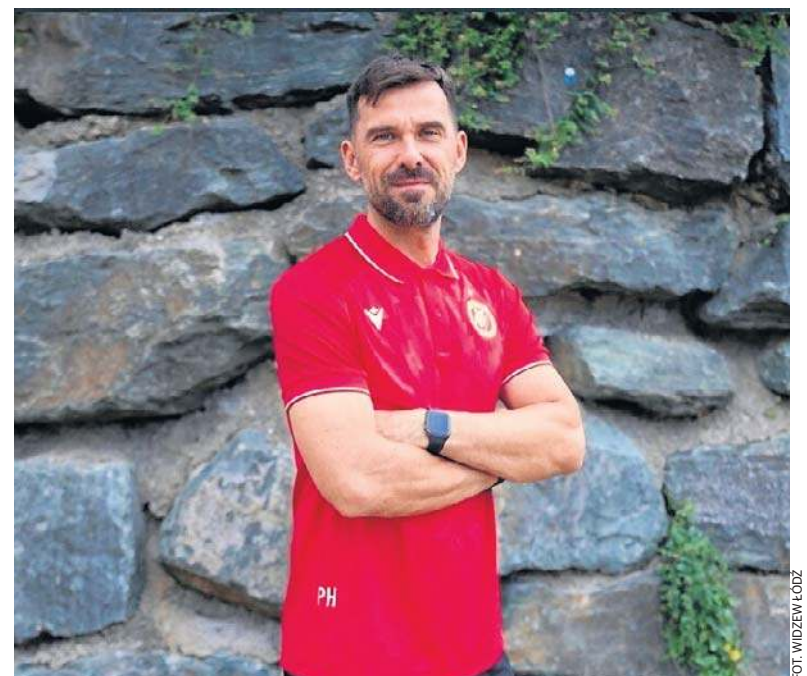
TEST W AUSTRII

Drużyna trenera Aleksandra Vukovicia zmierzyła się wczoraj wieczorem z austriackim FC Marchfeld Donauauen, występującym na trzecim poziomie rozgrywkowym.



FOT. WIDZEW ŁÓDŹ

Kibice Widzewa towarzyszyli drużynie także na zgrupowaniu w Austrii



FOT. WIDZEW ŁÓDŹ

Psycholog sportowy Paweł Habrat dołączył do sztabu szkoleniowego Widzewa Łódź



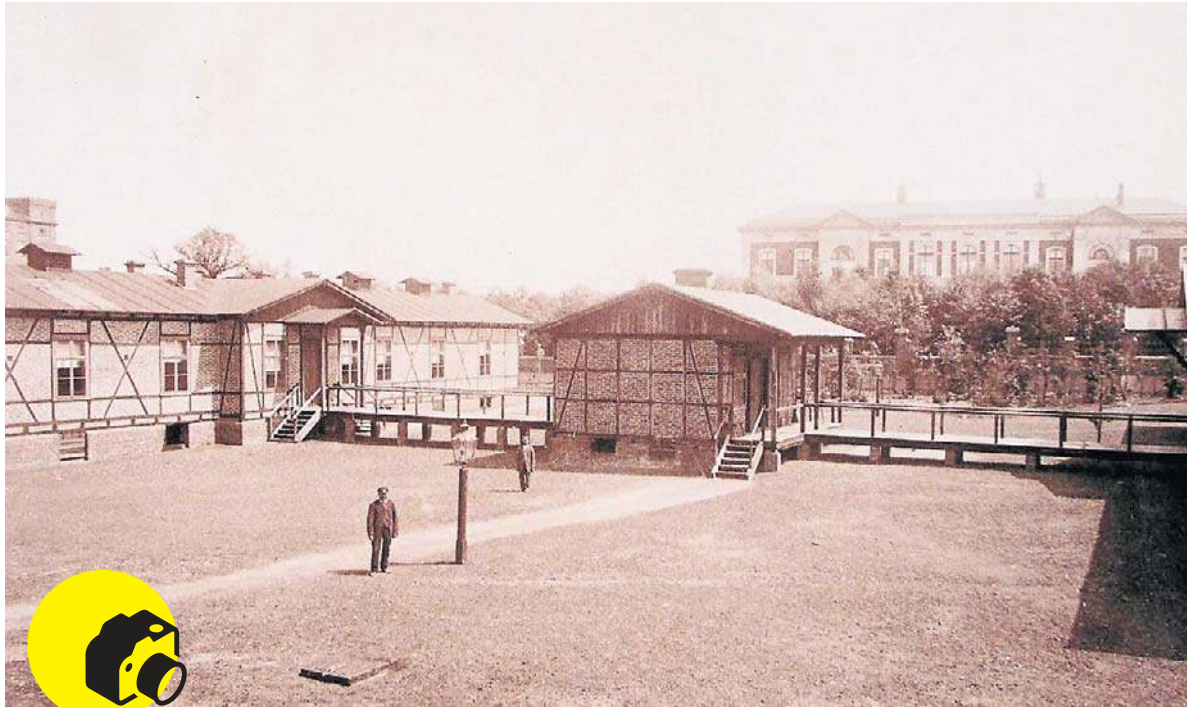
- **BARAN (21.03-19.04)**
Masz pewne wpływy, więc je wykorzystaj w imię przyjaźni. Taki gest niewiele kosztuje, a może wiele zmienić. Życie rodzinne też nabierze blasku, jak się postarasz.
- **BYK (20.04-22.05)**
Najbliższe dni będą sprzyjały nawiązywaniu kontaktów towarzyskich. Nie siedź w kącie, daj się poznać z najlepszej strony i zaczynij korzystać z życia.
- **BLIŹNIĘTA (23.05-21.06)**
Jeśli nie masz pewności, że zamierzone przedsięwzięcie się uda, opracuj sobie dyplomatyczne wyjście awaryjne.
- **RAK (22.06-22.07)**
Musisz odejść od schematów. Uczuciowe ścieżki w Twoim związku już się tak wytarły, że dalsze podążanie nimi prowadzi do nudy i zubożenia. Nie zapomnij o butelce szampana, by to oblać.
- **LEW (23.07-23.08)**
Odniesiesz dziś duży sukces i zamkniesz pewien etap w życiu. Będziesz triumfować i świętować. Nie zapomnij o butelce szampana, by to oblać.
- **PANNA (24.08-22.09)**
Choć na usta będą Ci się cisnąć brzydkie wyrazy, w obecności przełożonych powstrzymaj się od komentarzy. Miej instynkt samozachowawczy.
- **WAGA (23.09-22.10)**
Jesteś u szczytu możliwości intelektualnych, więc jeszcze gorliwiej rzuć się w wir pracy. Zostanie ona nagrodzona.
- **SKORPION (23.10-21.11)**
Coś sprawi, że pozbędziesz się rezerwy wobec pewnych osób. To bardzo dobrze, bo daje szansę na pożądane zmiany w układach zawodowych.
- **STRZELEC (22.11-21.12)**
Katastroficzne nastroje, jakim ulegasz, pogarszają Twoją kondycję psychiczną. Postaraj się odprężyć, bo wpadniesz w dołek.
- **KOZIOROŻEC (22.12-19.01)**
Żadne duże zmiany nie są wskazane. Trzeba trzymać się wytyczonego planu. Możesz sobie pozwolić na kosmetyczne korekty.
- **WODNIK (20.01-18.02)**
Nowe znajomości są cenne, bo otwierają nowe perspektywy. Przyjmij więc zaproszenie, nawet jeśli psuje Ci to plany.
- **RYBY (19.02-20.03)**
Nie przywiązuj się do swoich planów. Życie układa ciekawsze scenariusze. Już dziś może Cię spotkać duża niespodzianka.

KALENDARIUM ŁÓDZKIE



● 14 lipca 1831 po raz pierwszy w Łodzi wybuchła epidemia cholery. Pierwsze zachorowania rejestrowano na Bałutach i Starym Mieście, gdzie panowała największa bieda. Choroba objawiająca się nieustanną biegunką i bolesnymi skurczami prowadziła do śmierci ok. 45 proc. zarażonych. Do zakażenia dochodziło poprzez zabrudzoną ściekami wodę, w której były groźne bakterie. Cholera pochodzi z Indii, do Polski dotarła w 1831 z rosyjskimi żołnierzami tłumiącymi powstanie listopadowe. Potem było jeszcze 8 fal choroby, ostatnia w 1905. Powyżej rycina z 1831 przedstawiająca młodą kobietę chorą na cholere.

HISTORIA



● **Z epidemią cholery walczyły komitety powoływane przez władze Łodzi, fabrykantów i lekarza miasta.** Organizowano tymczasowe szpitale choleryczne w wynajmowanych domach i koordynowano grzebanie zmarłych. Na zdjęciu baraki dla chorych na cholere robotników zakładów Scheiblera i Grohmana. Więcej w Kalendarium Łódzkim na naszej stronie internetowej.

KRZYŻÓWKA

Poziomo:

- 1) Ani Mru Mru lub Hrabi,
- 6) poprawia błędy w książce lub gazecie,
- 10) imię autorki „Nad Niemnem”,
- 11) mała, podłużna czekoladka,
- 12) kraina ze Zwierzyńcem i szumami na Tanwi,
- 13) złot czarownic na Łysej Górze,
- 16) jeden z trzech króli,
- 19) zagrał główną rolę w filmie „Bogowie”,
- 24) ... Williams, tenisistka z USA,
- 25) odwrotna strona medalu,
- 27) pomadka do malowania ust,
- 28) dzieła uznanych twórców,
- 29) dom gry w Monte Carlo,
- 31) podniszczony płaszcz,
- 33) Narew dla Wisły,
- 34) wiadomość powierzona w tajemnicy,
- 36) miasto przy ujściu Białej do Dunajca,
- 37) Leonid, żeglarz-samotnik,
- 38) roślina wodna,
- 39) pływa po jeziorach,
- 40) broń rewolwerowca w wes- ternie.

Pionowo:

- 1) turecka potrawa pieczona z jagnięcia,
- 2) azjatycka używka do żucia,
- 3) wypłacana przez ZUS,
- 4) tkanina na dżinsy jak stan w USA,
- 5) dokuczliwy chłód,
- 6) gruby papier na opakowa- nia,

1		2		3		4		5		6		7		8		9	
						10											
11										12							
						13	14		15								
16	17		18						19		20		21		22		23
						24											
25					26						27						
					28												
29		30											31		32		
33													34			35	
36													37				
38					39										40		

- 7) gałązka do chłosty,
- 8) szklana osłona lampy,
- 9) wodne w ogrodzie, ozdoby w pierścieniu,
- 14) miejsce walk gladiatorów,
- 15) stolica z Akroplem,
- 17) szeroka ulica wysadzana drzewami,
- 18) prymitywne obuwie wykonane z tyka, drewna,
- 20) czekoladowa w torcie,
- 21) taniec z Brazylii,

- 22) otwierane w banku,
- 23) plastikowe auto z byłej NRD,
- 26) specjalność Artura Partyki,
- 29) zawodniczka młodsza od juniorki,
- 30) warzywo o jadalnych pędach,
- 31) pudełko na biżuterię,
- 32) chłopiec hotelowy,
- 35) Jerzy, były trener polskich piłkarzy.

PRZYSŁOWIA NA DZIŚ

Upały lipcowe
wrożą chłody
styczniowe.

W lipcu dzień
mglisty, jesienią czas
dżdżysty.